







KRZYSZTOF T. DĄBROWSKI

TAM GDZIE GASNĄ GWIAZDY

Tego się nie spodziewali, już prędzej że ujrzą Boga, ale to po prostu przekraczało ich zdolności pojmowania... nagle wszystkie teorie dotyczące wszechświatów równoległych znalazły swoje logiczne uzasadnienie, wszystkie tezy mówiące o tym, że ginący kosmos jest zastępowany przez nowy, też okazały się prawdziwe! Kapitan Hans Olo obejrzał się na załogę - wszyscy byli poruszeni, nie dowierzali własnym oczom. Nikt nie spodziewał się że ujrzy...

Czy przodkowie mieli moralne prawo, by decydować za przyszłe pokolenia? Czy misja usprawiedliwiała fakt, że Ziemia stała się dla nich niemalże mitem, starym, zakurzonym, który trzeba znać właściwie tylko z obowiązku? Manta Saria, ogromny statek kosmiczny przemierzał przestrzeń od ponad trzech tysięcy lat, by dokonać czegoś, co kiedyś byłoby uważane za czyste szaleństwo. Odkąd, wieki temu, naukowcy udowodnili, iż wszechświat w pewnym miejscu się kończy, kiedy kolejnych parę wieków później dowiedziono, że ów krainiec jest zbudowany z materii, jakby ktoś specjalnie otoczył go wielkim murem, uznano, że sprawą najwyższej wagi będzie sprawdzenie, co się za nim kryje. Niektórzy nawet żartobliwie ochrztili tę wyprawę mianem „odkryć boga” wkrótce się okaże, czy żarty nie były prorocze.

Mijali wiele galaktyk. Gdy tylko któraś rokowała nadzieję, że może istnieć tam życie, lub choćby planeta, którą można by zasiedlić, natychmiast wysyłali sondy badawcze. Mimo braku sukcesów, mogli sobie na tą rozrzutność pozwolić gdyż dzięki dobrodziejstwu nanotechnologii owe pojazdy zbudowane były z zaledwie kilku tysięcy atomów. Trzy tysiąclecia przemierzania czarnej pustki. Ponad dwadzieścia pokoleń znających Ziemię jedynie z podręczników - czasami zadawał sobie pytanie czy to wszystko ma sens?; czy nie zmierzają przypadkiem ku własnej zgubie? Czy mają prawo spojrzeć w twarz Boga? Udowodnić istnienie Najwyższego, jeśli

naprawdę tam jest. Hans Olo od pięćdziesięciu dziewięciu lat przewodził wyprawie i nie było symulantu dnia, by nie dręczyły go te pytania. Pytania bez odpowiedzi.

Najważniejsza w dziejach ludzkości eskapada została zaplanowana w najdrobniejszych szczegółach. W fazie przygotowań najtwardszym orzechem do zgryzienia była kwestia produkcji pożywienia. Aby załoga nie pomarła z głodu musieliby mieć, ze sto razy większą od statku, ładownię pełną żywności. Uplłynęło kilka lat, nim wynaleziono generator cząsteczkowy i jednocześnie uratowano cały projekt. Urządzenie rozbijało odpadki na atomy, z których mogło potem skonstruować dowolną rzecz, pożywienie czy napój. Wybawienie i przekleństwo w jednym. Przekleństwo, bo nic nie mogło się zmarnować nawet zmarłych i odchody muszą rozbijać na atomy (a potem jeść w postaci wygenerowanego pokarmu), nigdy nie poznają smaku prawdziwego ziemskiego jedzenia, soczystych owoców, krwistych steków. Wszystko, co wyprodukowali, miało podobny, lekko tekturowy posmak.

Zmarli przerabiani na pokarm mimo, iż spędził tu całe życie, mimo tego, że nie znał innego jedzenia, ta myśl wzbudzała w nim jakieś niedookreślone, pierwotne uczucie obrzydzenia i grozy. Fakt, że jego organizm przetrawia przerobione odchody jeszcze jakoś dawało się znieść, ale to, że być może któregoś dnia spożył rodziców, matkę, ojca...

Nie mniej problemów nastęrczała kwestia napędu. To, że światła nie da się prześcignąć, było sprawą bezdyskusyjną, jednakże, dzięki wykorzystaniu antimaterii jako paliwa i wynalezieniu nowych niesmowicie odpornych na uszkodzenia materiałów, udało się ostatecznie osiągnąć podświetlną, nieznacznie tylko mniejszą od prędkości fotonów. Mimo tych niezaprzeczalnych sukcesów naukowcy wciąż załamywali ręce... statek musiałby lecieć ponad milion lat, by dotrzeć do punktu docelowego. Przygotowania utknęły w

kleństwo w jednym. Przekleństwo, bo nic nie mogło się zmarnować nawet zmarłych i odchody muszą rozbijać na atomy (a potem jeść w postaci wygenerowanego pokarmu), nigdy nie poznają smaku prawdziwego ziemskiego jedzenia, soczystych owoców, krwistych steków. Wszystko, co wyprodukowali, miało podobny, lekko tekturowy posmak.

Zmarli przerabiani na pokarm mimo, iż spędził tu całe życie, mimo tego, że nie znał innego jedzenia, ta myśl wzbudzała w nim jakieś niedookreślone, pierwotne uczucie obrzydzenia i grozy. Fakt, że jego organizm przetrawia przerobione odchody jeszcze jakoś dawało się znieść, ale to, że być może któregoś dnia spożył rodziców, matkę, ojca...

Nie mniej problemów nastęrczała kwestia napędu. To, że światła nie da się prześcignąć, było sprawą bezdyskusyjną, jednakże, dzięki wykorzystaniu antymaterii jako paliwa i wynalezieniu nowych niesmowicie odpornych na uszkodzenia materiałów, udało się ostatecznie osiągnąć podświetlną, nieznacznie tylko mniejszą

od prędkości fotonów. Mimo tych niezaprzeczalnych sukcesów naukowcy wciąż załamywali ręce... statek musiałby lecieć ponad milion lat, by dotrzeć do punktu docelowego. Przygotowania utknęły w martwym punkcie na dziesięć lat. Z każdym dniem mniej ludzi wierzyło w to, że wszystko zakończy się sukcesem. Pojawiały się nawet głosy oburzenia, iż budżet planetarny wydał na całe przedsięwzięcie wiele miliardów eurolarów, które oczywiście najbardziej obciążały najuboższych podatników. Tych nie obchodzi jakieś tam wyprawy, kosmiczne fanaberie.

Pewnej, nasiąkniętej atmosferą rezygnacji, nocy jeden z młodziutkich stażem astrofizyków zerwał się z łóżka i do rana, niemalże z szaleństwem w oczach, wyliczał wzory, które wyśnił. Powstała teoria synchronizacji zakrzywień czasoprzestrzennych. Najprościej rzecz ujmując ów młodziak przyczynił się do stworzenia „mapy drogowej” wszechświata i wytyczenia „tuneli” krzywizn czasoprzestrzennych... w praktyce oznaczało to, iż dotarcie do punktu docelowego zajmie ludzkości prawie trzy



tysiące lat; a to było już do zaakceptowania.

Gdy budowa statku była na ukończeniu zgromadzono najtęższe umysły obu płci. Spośród nich wyselekcjonowano pięć tysięcy ochotników, z czego jedną połowę stanowili mężczyźni a drugą kobiety. Wybrańcy musieli zaakceptować tylko jeden warunek mieli się dobrać w pary, każda miała spłodzić dwójkę dzieci. Cykl ten miał się powtarzać przez wiele przyszłych pokoleń. Pokoleń, którym nie pozostawiono już żadnego wyboru...

Nastał dzień zerowy. Dla pięciu tysięcy śmiazków rozpoczęło się nowe liczenie czasu. Tak jak kiedyś początek wyznaczały narodziny Chrystusa, tak teraz ich początkiem było oderwanie się od orbity ziemskiej. Wybrańcy ludzkości na dobrowolnym zesłaniu. Poświęcenie, o którym, niezależnie od wyników, po wsze czasy będą uczyć w szkołach.

Hans często zastanawiał się, jak teraz wygląda Ziemia. Nigdy na niej nie był. Narodził się wśród gwiazd, a nie na odległej, błękitnej planecie, ale czuł do niej dziwną tęsknotę, jakby gdzieś głęboko w genach zakodowano mu poczucie więzi z tą pierwotną matką ludzkości. Fakt faktem otrzymywali przekazy wiązka informacyjną, lecz były zniekształcone na skutek oddziaływania różnorodnych promieniowań i krzywizn czasoprzestrzennych. Poza tym były niestety nieaktualne. Najświeższe wiadomości miały prawie dwa tysiące lat. Problemu komunikacji przy takich odległościach chyba nikt nigdy nie rozwiąże. Lepsze to niż nic. Ziemia mogłaby w tym momencie już nie istnieć, a oni dowiedzieliby się o tym dopiero za kolejne dwa tysiąclecia.

Zapewne nie on jeden miał takie stany. Cała obecna załoga narodziła się na statku, w kosmosie. Umrą również najpewniej w tej czarnej głuszy. Lecz każdy obowiązkowo musiał poznać kulturę, historię, geografię i przyrodę planety przodków. A to wszystko tylko po to, by móc nauczać kolejne pokolenia. By pamięć o tym miejscu nie zaginęła. Kiedyś przecież wrócą tam ich potomkowie.

Im dłużej lecieli, tym więcej rodziło się teorii spiskowych. Ktoś stwierdził, że są uciekinierami, że błękitna planeta została

napadnięta przez obcych. Ktoś inny, że nie ma dokąd wracać z powodu kolizji macierzy z ogromnym meteorytem. Ktoś nawet wymyślił takie kuriozum, że niby Ziemia nie istnieje i nigdy nie istniała... że statek był od zawsze, od zarania dziejów! Włos się na głowie jeży. Najlepsze, starannie wyselekcjonowane geny, potomkowie geniuszy i takie brednie legną się w co poniektórych głowach. Jak dobrze, że są już prawie u celu.

Z zamyslenia został wyrwany przez gwałtowny wstrząs i głośny pulsujący basowe dudnienie. Hamowali. Po raz pierwszy od kilku lat wytracali prędkość. Dotarli do celu! Byli już w odległości zaledwie kilkuset kilometrów od „końca wszechświata”. Zwolniono do czterystu za półtorej godziny przyjdzie im się zmierzyć z nieznanym. Czujniki wariowały, piskliwie alarmując załogę o wielkiej materialnej przeszkodzie. Hans uznał, że trzeba je wyłączyć; potrzebna będzie cisza i skupienie. Nadeszła wiekopomna chwila nie mogą sobie pozwolić na najmniejszy błąd.

Manta Saria sunęła niewzruszenie ku swemu przeznaczeniu, zostawiając za sobą roziskrzoną biliardami galaktyk przestrzeń, zmierzając ku idealnej czerni. Siły porządkowe i brygady ratownicze postawione zostały w stan najwyższej gotowości. Oddziały komandosów, na wszelki wypadek, zajmowały pozycje przy blasterach i pojazdach bojowych. Na każdym z poziomów panował niesamowity tumult. Ludzie tłoczyli się przed ogromnymi ekranami mającymi transmitować całą akcję i przemowę głównodowodzącego. Na ich twarzach malowały się przeróżne uczucia, od strachu po ekscytację może to ostatnie chwile ich życia, a może otrzymali właśnie przepustkę do nowego, lepszego wszechświata...

Hans Olo przez prawie całe życie przygotowywał się do tej chwili, wiele raz ją sobie wyobrażał, nawet w snach go czasami nawiedzała. Gdy nastąpiła, nie potrafił opisać emocji; głos drżał, serce łomotało, pot spływał obfitymi strumieniami po siwych skroniach. Załoga zdecydowanie nie powinna oglądać przywódcy w takim stanie. Postanowił wysłać swego zastępcę by odczytał w jego imieniu przemowę.

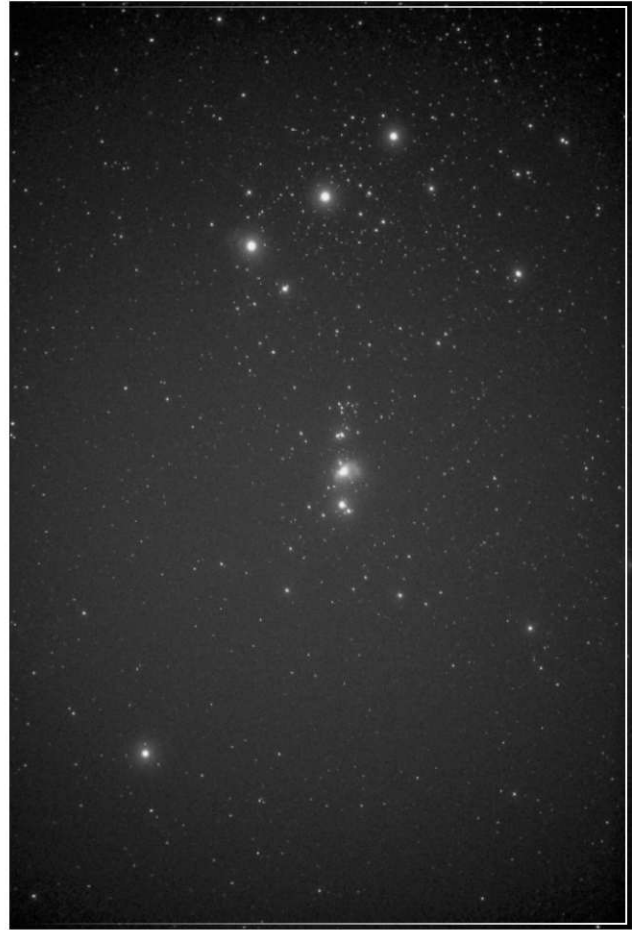
podbiegł do Hansa ściskając wydruk, jakby był czekiem na milion eurolarów. Z nadmiaru emocji, przez trwającą wieczność chwilę, nie mógł wydobyć z siebie głosu. W końcu wykrzyknął drżącym głosem:


Tam jest atmosfera!

Analizy i gorące dyskusje trwały kilka godzin. Ostatecznie postanowiono, iż trzeba przelecieć na drugą stronę. Fakt - ryzyko, że stanie się coś nieprzewidzianego, było ogromne, ale nie po to tyle pokoleń dokonało żywota z dala od Ziemi, by teraz tchórzliwie się wycofali. Ze względu na istniejącą po tamtej stronie atmosferę postanowiono otoczyć Manta Sarię bańką plazmy z ciemnej materii. Gdy tylko ów twór przylepił się do bariery, zaczęli się przewiercać przez kraniec. W miejscu przelotu wygenerowana została pętla czasoprzestrzenna, aby nie było ryzyka, że coś z tamtego wszechświata, przeniknie tam gdzie nie powinno. Nawet jakby trochę atmosfery przedostało się przez klaster, dostanie się do pętli i ugrzęźnie tam na zawsze nie czyniąc żadnych szkód.

Po kilku, pełnych napięcia, godzinach wlecieli wreszcie do nieznanego wszechświata. Większość kamer została momentalnie skierowana na barierę, by można było zobaczyć jak wygląda z drugiej strony była jasnoróżowa, bardzo chropowata i...

...i zaczęła się błyskawicznie oddalać, z prędkością tak niewiarygodną, że sprzęt badawczy zaprotestował z powodu braku skali. Nikt nie miał odwagi, by choćby drgnąć. Wszyscy zastygli w niemym przerażeniu, w bezruchu. Tego się nie spodziewali, już prędzej, że ujrzą Boga, ale to po prostu przekraczało ich zdolności pojmowania... nagle wszystkie teorie dotyczące wszechświatów równoległych znalazły swoje logiczne uzasadnienie, wszystkie tezy mówiące o tym, że ginący kosmos jest zastępowany przez nowy też okazały się prawdziwe! Kapitan Hans Olo obejrzał się na załogę, byli poruszeni, niedowierzali własnym oczom. Nikt nie spodziewał się, że ujrzy... Im bardziej ich wszechświat się oddalał, tym bardziej wyraziste były kształty... dziecka. Ich kosmos... był zaledwie komórką w gigantycznym organizmie nie zdającego sobie z tego sprawy kilkuletniego brzdąca. Czy wszechświat



 Mariusz Lemiecha

tego malca również jest tylko komóreczką, jedna z wielu miliardów, w czymś ciele? Czy on, Hans Olo, w każdej swej komórce również ma wszechświat? Czuł, że za moment zwariuje. Czy teraz, zagryzając ze zdenerwowania wargi (do krwi)..., czy uśmierca właśnie miliardy bytów dokonując zniszczenia ich wszechświatów?

Pociemniało mu w oczach.
Zemdlał.



Złosiwa redakcyjna Chimera dała o sobie znać i w poprzednim numerze "Koziegorynku" opowiadanie "Nasmierciny" autorstwa Krzysztofa T. Dabrowskiego zostało opublikowane w formie nieco okrojonej. Autora i Czytelników serdecznie przepraszamy.

(red)



HUBERT CZARNOCKI

Drzwi

wysyłał w niebo błyski
dawał długie i krótkie
znaki słał stada
tresowanych gołębi

drzwi nieba
otwierały się i zamykały
wyfruwały z nich kartki
wymykały się
błyski i zapachy

dobiegały strzępy
rozmów i przeciskały
promienie

pochylony nisko
szedłem tropem
podnosiłem pióra

moje serce
śpiewało dla
ciebie



ROBERT KONCA

WAKACJE

Patrzę na swoje ręce, a potem na swoje odbicie w szybie okna, nocą. Dwóch ludzi; któryś z nich jest tylko odbiciem. Który? Może obaj. A może żaden. Jutro wyjeżdżam. Jest lato, są wakacje. Późno już. Rano trzeba wstać. I jechać. Rzucić się błyskawicznym ruchem na budzik, przydusić silnie ręką, żeby przestał wreszcie dzwonić. I znowu wrócić na posłanie, położyć się, ale już tylko na chwilę, minuta czy dwie. I zaraz wstać na dobre. Do okna, rozsunąć zasłony, zobaczyć, czy nie pada deszcz. I znowu powrót do posłania, aby zrobić z nim porządek. Później do kuchni, znaleźć coś do jedzenia i zjeść, nie za dużo. Napić się. Wyjść z domu i na stację, o wschodzie słońca. Dwudziesta trzecia czterdzieści, a jutro wyjeżdżam. Zrywa się wiatr, uderza w szyby. Czy jutro będzie padać? Nasłuchuję, bo wydaje mi się, że gdzieś daleko zagrzmiało, burza. Ale chyba nie. Czy jutro będzie padać? Czy jest tu gdzieś w moim domu ukryty parasol? Zapalam światło w przedpokoju, otwieram szafę. Gdzie parasol? Dwudziesta trzecia czterdzieści dwie. Czyżby pukanie do drzwi domu? Wynurzam głowę z szafy i podchodzę do drzwi. Nasłuchiwanie. Wyglądam przez wizjer. Ciemność na korytarzu. Otworzyć? Ale czy ktoś pukał? Nie słyszałem przecież, żeby ktoś pukał. Wracam do szafy. Jest wielki, czarny parasol. Chcę go otworzyć, ale zawsze te trudności z rozpostarciem parasola. Otwieram go wreszcie. Piękny, czarny, stylowy. Przechadzam się z nim kawałek po mieszkaniu. Wspaniały, okazały, ledwo mieści się w przedpokoju. Dwudziesta trzecia czterdzieści dziewięć. Ale nie lubię chodzić z parasolem, nie bardzo. Czy jutro będzie padać? Czy wyrwany z głębokiego snu jak z grobu, rzucę się oszalały na budzik, a potem chwycę rękami ciężką głowę? Niskie ciśnienie. Trzeba rozsunąć zasłony i spojrzeć na strugi deszczu płynące po szybie. Szaro, prawie mrok. W blasku latarni czają się tłuste kałuże. Potem coś zjeść, bez większego apetytu niskie ciśnienie atmosferyczne. Wygrzebać z szafy czarny parasol, zarzucić na plecy plecak i iść, iść na stację z parasolem w rękę,

z plecakiem na plecach, deszcz bębni o chodniki. Dwudziesta trzecia pięćdziesiąt pięć. Składam parasol, jest świetny. Ale nie lubię chodzić z parasolem. Będę musiał poszukać w razie czego kapelusza albo czapki. Wydaje mi się, że jest tu gdzieś czapka z daszkiem. Chowam parasol w szafie i rozglądam się trochę za kapeluszem. Nie ma. Do skrzyni trzeba. Otwieram skrzynię. Grzebię, pochylony nisko. Za chwilę jednak prostuję się nagle. Chodzi mi przecież o czapkę z daszkiem, a rozglądam się za kapeluszem. Wydaje mi się, że czapka z daszkiem była w szafie, jestem prawie pewien. Chciałem ją znaleźć, ale z nieznanym powodów rozglądałem się za kapeluszem i dlatego nie zwróciłem na nią uwagi. Podchodzę do szafy po raz trzeci, ostrożnie, aby nie obudzić Tego Co w Niej Żyje, i rozglądam się za czapką z daszkiem. Jest. Chowam ją od razu do plecaka, może się przydać. Zero minut siedem. Ważę w rękę plecak. Jest lekki, nieduży. Jest lato, są wakacje. Jest noc. Patrzę z niepokojem na okno, wieje. Otwieram okno, chłodny powiew rozwiera mi szerzej oczy. Nie pada. Zobaczę, czy są gwiazdy. Są, nie ma chmur. Stoję w oknie, oddycham głęboko. Czy pukanie do drzwi domu? Zamykam okno, idę do przedpokoju, do drzwi. Słucham. Nic. Wyglądam przez wizjer. Czarno. Ale czy ktoś pukał? Nie słyszałem, żeby ktoś pukał. Zero trzynaście, a rano trzeba wstać. Na znak wygrzebać się z dusznej trumny, zgarnąć z siebie wiekową warstwę kurzu, a potem ramionami z całych sił przez wilgotną ziemię ku światłu, i do budzika. Nacisnąć mocno, by przestał wreszcie dzwonić, ale nie trafić za pierwszym razem zaspną, na wpeł żywą i niepewną ręką. Więc ponownie nacisnąć ze wściekłością, tym razem już dobrze, i wrócić na chwilę do posłania. Poleżeć jeszcze pilnując się, żeby znowu nie... Potem wstać na dobre, ubrać się i do okna, odsunąć zasłony. Znowu do posłania, by zrobić z nim porządek. Zjeść, i co tam jeszcze, i wyjść nareszcie z domu, z plecakiem na plecach, iść na stację, na poranny pociąg. Puste ulice, bramy



📷 Grażyna Hankiewicz

jeszcze ciemne. Słońce wschodzi, rozjaśnia krwawo szklane ściany wielkich fabryk. Chłodno. Zapiąć kurtkę, zastanowić się, czy niczego nie zapomniałem. Wejść na stację, kupić bilet i na peron. Przechadzając się po peronie jeszcze raz wyliczyć sobie w myśli wszystkie stacje przesiadkowe. Kombinować, jak najszybciej i najtaniej dojechać. Czy ona czeka na mnie w starym domostwie? Patrzeć, jak z dali nadjeżdża wolno pociąg, coraz bliższy, coraz bliższy. I do pociągu, w rozsunięte drzwi. Zero dwadzieścia. Patrzę na swoje ręce, a potem na swoje odbicie w szybie okna, nocą. Jutro wyjeżdżam, dzisiaj właściwie, kilka godzin jeszcze. Nie zostanie tu po mnie nawet odbicie. Zero dwadzieścia siedem. Czy pukanie do drzwi domu? Znowu do drzwi, nasłuchuję, jakby świst oddechu. Wyglądam przez wizjer. Trzy przerażające, jarzące się źrenice w ciemności korytarza. Czwarta dwadzieścia osiem.

Kiedy mówi, jego ręce drżą jeszcze bardziej, a oczy poszukują czegoś na niedalekim, miejskim horyzoncie. Jego głos jest ochrypły, jego myśli rozwijają się i zanikają nagle: Nadchodzę stamtąd - pokazuje ulicę białą od słońca - z tamtej ulicy, tak, zawsze tak jest, że z tamtej ulicy nadchodzę. Nie pamiętam, co jest za tą ulicą, co też tam takiego jest, że zawsze z tej ulicy nadchodzę. I nie wiem, dokąd. Nie wiem, dokąd nadchodzę. Ty nie wiesz tego, co ja wiem. Ty nie wiesz tego, a ja tu przychodzę każdego dnia, ty nie wiesz tego - pokazuje powolnym, sennym ruchem ręki budynek dworcowy że ta budowla jest każdego dnia inna. Inny jest zegar dzisiaj, inny jest wczoraj, inny jest zegar jutro, pojutrze, pozajutru. Okna! Okna też są inne - krzyczy piskliwym głosem. Dziś jest o jedno okno więcej, niż wczoraj, wiem to na pewno. Ja liczę okna dokładnie. Siadam w tym

miejscu, w tym samym zawsze cieniu i liczę okna, i liczę rysy na murze, drzwi. Liczę okna, bo czas wtedy szybciej przemija i wreszcie chce mi się spać. Wreszcie mija tyle czasu, że chce mi się spać, oczy zamykają się i śpię na siedząco, czy jak tam, na leżąco, nie wiem, nie ma mnie. Ale ja wiem to, czego ty nie wiesz. Ja wiem to, że czas każdego dnia mija inaczej. Bywa tak, że liczę ja okna, drzwi, rysy na murze, ptaki na niebie, wagony przetaczające się obok, ludzi przechodzących po moście, liczę wszystko, kładę rękę na sobie i liczę te stuknięcia, te drgnienia, co czuję w środku, gdy przyłożę rękę, choć bywają dni, kiedy nie wyczuwam ani jednego uderzenia, wszystko liczę, a czas nie mija i nie chce mi się spać, i tylko patrzę dookoła, co by tu jeszcze można było policzyć, żeby czas szybciej minął, i liczę liście na drzewie, ale i wtedy nie chce mi się spać, wciąż jeszcze zbyt mało czasu minęło. I wtedy patrzę na jasną od słońca ulicę. Nadchodzę stamtąd, z tej ulicy. Nie wiem, dokąd nadchodzę. Wieje wiatr unosi powoli głowę i patrzy w górę, gdzie małe listki poruszają się leniwie i bez szelestu ale tu, nisko, gdzie ja siedzę, nie ma żadnego wiatru. Na mojej twarzy osiada kurz i nie ma wiatru, który by go strząsnął. Coś za tą ulicą musi być, skoro zawsze stamtąd nadchodzę. Ale to się skończy. Przejdę tędy, minę siebie i pójdę dalej. Dzisiaj jest inaczej. Okna, drzwi, zegar, rysy na murze. Któregoś dnia, pamiętam, było tak, że tylko jedno okno naliczyłem w tej budowlu - patrzy z natężeniem na stację. Jedno okno. A drzwi w ogóle nie było. I w tym oknie była jakaś twarz, jakaś głowa z długimi, białymi włosami. I ona się śmiała, bezzębna i władcza. Ona wie więcej. Siedzi tam, w tym oknie, którego dziś nie ma, ale może jutro znowu będzie, i tylko naciska guziki i zmienia zwrotnice torów. Tu przychodziło jeszcze takich dwóch. Pili coś z długich, zielonych butelek, zawsze w tamtych krzakach - pokazuje palcem pobliskie zarośla, wokół których leżą szkła porozbijanych butelek. Zawsze przychodzili, a wczoraj nie przyszli. I dzisiaj ich nie ma - jeszcze raz wskazuje głową na puste zarośla. Zmienili miejsca, mówię. Nie, nie, to nie to. Oni musieli odejść, choć nikt im nie kazał. Wieje wiatr, ale ja nie czuję na swojej twarzy żadnego powiewu. Był jeszcze jeden - przemyka na

chwile oczy, nie przestając mówić - taki w pomarańczowej kamizelce, małomówny jakiś. Milczek. Kiedy pociąg stał na peronie, on podchodził, schylał się nieco i stukał swoim młotkiem czy dźwignią w koła wagonów. Sprawdzał. Ale i on gdzieś poszedł. A dziś wszystkie pociągi - odjeżdżają w jednym kierunku. Ty nie wiesz tego, co ja wiem. Dzisiaj czas inaczej płynie. Ta ręka - podnosi swoją rękę na wysokość twarzy - jest dzisiaj inna, niż była wczoraj. Ta ręka będzie inna jutro, a jeszcze inna pojutrze - opuszcza rękę z rezygnacją. Chciałbym, żeby minęło już tyle godzin, że moje oczy i myśli zmęczyłyby się i zasnęły wreszcie. Czasem śni mi się, że liczę okna, drzwi, rysy na murze, ptaki na niebie. Nadchodzę stamtąd, z tamtej ulicy. Nie wiem, dokąd nadchodzę.

Dokąd teraz ? Zszedłem z peronu małej stacji kolejowej, nieobecnej na dokładnych nawet mapach. Patrzę na góry na wschodzie, porośnięte czarnym lasem. Chyba tamtędy. Najpierw drogą, minąć małą wioskę, przy ostatnim domu zatrzymać się i spytać kogoś o starą budowlę, gdzie nikt nie chodzi. Później polną ścieżką coraz wyżej na wzgórze, skąd, odwracając się, zobaczyć wieś, stację, tory i inne wzgórze. I do lasu. Wielkie, stare drzewa, nierealne słońce między gałęziami, powykręcany w fantastyczne kształty jak ramiona torturowanych. Dalej „krzyżówka”, należy skrócić w lewo; jest dosyć stromo, ale o wiele bliżej. Wystarczy przejść jeszcze jedną górę. Droga jest pusta; to wyjątkowo spokojna okolica. Na szczycie polana z kamiennym kręgiem, ustawionym przed tysiącletnimi przez nieznanymi czarownikami. Można odpocząć, coś zjeść, odetchnąć świeżym powietrzem. Jest lato, są wakacje. Można pochylić głowę, zamknąć oczy, poddać się hipnozie kamieni. Śnić raczej, niż widzieć, jak zachodzi słońce, a między drzewami przemyka zwinnie pochylona postać z długimi, białymi włosami.


To musi być gdzieś tutaj. Obserwuję mgły płynące po zalesionych górach. Moja ścieżka jest ledwo uchwytna, ginie wśród bujnej roślinności. Paprocie. Już widać polanę. Stoi tam stare domostwo. Jeszcze

Dokąd teraz ? Zszedłem z peronu małej stacji kolejowej, nieobecnej na dokładnych nawet mapach. Patrzę na góry na wschodzie, porośnięte czarnym lasem. Chyba tamtędy. Najpierw drogą, minąć małą wioskę, przy ostatnim domu zatrzymać się i spytać kogoś o starą budowlę, gdzie nikt nie chodzi. Później pełną ścieżką coraz wyżej na wzgórze, skąd, odwracając się, zobaczyć wieś, stację, tory i inne wzgórza. I do lasu. Wielkie, stare drzewa, nierealne słońce między gałęziami, powykęcany w fantastyczne kształty jak ramiona torturowanych. Dalej „krzyżówka”, należy skręcić w lewo; jest dosyć stromo, ale o wiele bliżej. Wystarczy przejść jeszcze jedną górę. Droga jest pusta; to wyjątkowo spokojna okolica. Na szczycie polana z kamiennym kręgiem, ustawionym przed tysiącletnimi przez nieznanymi czarownikami. Można odpocząć, coś zjeść, odetchnąć świeżym powietrzem. Jest lato, są wakacje. Można pochylić głowę, zamknąć oczy, poddać się hipnozie kamieni. Śnić raczej, niż widzieć, jak zachodzi słońce, a między drzewami przemyka zwinnie pochylona postać z długimi, białymi włosami.

To musi być gdzieś tutaj. Obserwuję mgły płynące po zalesionych górach. Moja ścieżka jest ledwo uchwytna, ginie wśród bujnej roślinności. Paprocie. Już widać polanę. Stoi tam stare domostwo. Jeszcze trzeba przemierzyć sto, sto pięćdziesiąt metrów, by stanąć na rozległej polanie nieopodal starego domu. Ogarnąć czujnym spojrzeniem budowlę, okna, drzwi. Stwierdzić, że bardzo postarzał się dom od czasu mojej ostatniej tu, niedawnej przecież wizyty. Obrócony w ruinę. Pokiwać głową i podejść bliżej. Do okna najpierw. Czy ona jest? Z niecierpliwością i z lękiem przed tym, że jej nie zastanę, zajrzeć przez wylamane okno. Pusto. W kącie, gdzie trwa mrok, zarysy posłania. Czy ona tam jest? Później do drzwi, których nie ma. Wejść do środka ostrożnym krokiem. Rozejrzeć się po podłodze zagraconej kawałkami mebli, szkła, gazet. Ktoś tu jednak czasem przychodzi. I do pokoju, otwierając skrzypiący szkielet drzwi. W pokoju jeszcze bardziej zagracona podłoga, ale już nie zwracając na to uwagi, podejść do posłania w kącie, gdzie panuje mrok. Czy ona tam jest? Wreszcie

przyzwyczajonymi do mroku oczami dostrzec jakiś niewyraźny kształt leżący na posłaniu w ciemności. Stań nad posłaniem, czując krople potu na czole i karku. Wyciągnąć rękę. Zbliżyć rękę; wiele godzin. Dotknąć wreszcie. Nie ma jej. Tylko zwinięty, porwany koc, w ciemnościach i kurzu. Dlaczego tak ciemno w tym kącie? Żeby nie myśleć o niej, odwrócić od niej myśli i dlaczego tak ciemno w tym kącie? Myśleć o nadchodzącej nocy i czuć wzrastający niepokój, ale nie z powodu mroku, lecz dlatego, że jej tu nie ma. Tylko ruina i kurz. A przecież nie minęło dużo czasu, a przecież obietnice, porozumienia naszych rąk, szepczące plany na przyszłość. Trzeba się czymś zająć, aby nie myśleć o tym. Do plecaka, poszukać świecy. Zapalić świecę i postawić ją na wielkiej, blaszanej puszcze znalezionej na podłodze. Spojrzeć w okno i stwierdzić, że już ciemno.

Siedzę oparty o ścianę i patrzę na płomień świecy. Jest dosyć widno, nie mogę narzekać. Słyszę, jak wokół domu ostrzegawczo szumi las. Teraz zamykam oczy i nasłuchuję jeszcze bardziej, czy tam, gdzieś pośród szumu, nie odzywają się jakieś kroki. Czy ona przyjdzie? Czy zobaczy nagle światło świecy idąc przez bezkresne lasy i góry? Czy idąc nocą wśród czarnych zarośli śpiewa cichutko, by dodać sobie otuchy, i czy ja jej śpiew usłyszę? Jak wygląda? Jak ona wygląda? Otwieram oczy, myślę, że już. Ogarniam wzrokiem ciemne ściany, ale może jeszcze za wcześnie. Teraz w stronę okna; w pierwszym spojrzeniu wydaje mi się, że ją widzę - tylko przez moment, potem powtarzany bez końca przez mój umysł bezgłośnie stukająca w szybę, i myślę, że już, ale potem znowu pusto. Czasem wydaje mi się, że ją sobie przypominam, jej twarz, oczy, usta, wszystkie szczegóły. Czasem wydaje mi się, że czuję jej dotyk, jedyne w swoim rodzaju dotknięcie. Jest dosyć widno, nie mogę narzekać. Tak o tym trzeba myśleć, odwrócić swą uwagę od niej i nie podsycać jeszcze bardziej niepokoju. W niektórych kątach panuje noc, ale nie można narzekać, a gdyby pojawiły się jakieś wątpliwości, to wystarczy przypomnieć sobie te domy ciemne, bez żadnego światła, w których trzeba było przeczekać tyle nocy; te szalały ciasne i chłodne, gdzieś w lasach czy na szczytach gór; te ruiny z dwiema tylko ścianami i kawałkiem sufitu,


 Grażyna Hankiewicz

a wokoło pochylają się w ciemnościach drzewa i leje deszcz; i wreszcie te pokoje, w których nagle znajdowałem siebie leżącego na podłodze zimnej i betonowej, czując się jak ryba na Księżycu, w szarości świtu lub zmierzchu. I deszcz na szybach. Trzeba o tym myśleć. Wstać i podejść do okna, omijając ostrożnie świecę. Wyjrzeć przez okno, czy są gwiazdy na niebie, czy jest jeszcze niebo. Oprzeć się rękami o parapet i patrzeć do góry, i słuchać, jak szeleszczą liście, jak płynie niedaleki potok. A może do potoku, przemyć twarz rozpaloną, zanurzyć przeguby pokrwawionych rąk? Najpierw do przedpokoju, omijając ostrożnie świecę, zastanowić się, czy wziąć ze sobą ogień. Niech zostanie, nie jest tak ciemno. Przez ciemny jednak przedpokój, potykając się o zagraconą podłogę, widząc jaśniejszy nieco otwór drzwi. I wreszcie drzwi, nieistniejące, sam otwór, choć może są, lecz już nieodczuwalne? Na podwórce,

gdzie trzeba postać chwilę i odetchnąć nocnym powietrzem. Potem dalej, spacerowym krokiem, przez trawy szumiące, sięgające kolan, przez polanę coraz bliżej lasu. Lekko w dół lasem, ostrożnie, by się nie potknąć, zejść w dolinę nad brzeg potoku. I patrzeć w srebrne fale, tak jasne pośród nocy, patrzeć stojąc na śliskim kamieniu. Pochylić się ku pędzącej wodzie, znów ostrożnie, by się nie potknąć. A jednak się poslizgnąć i usłyszeć, jak nocny ptak przesywa listowie spłoszony. Ale wszystko w porządku. I wreszcie zanurzyć w wodzie ręce patrząc, jak fale splukują z nich czerwień, która odpływa w dal, i ręce stają się znowu czyste, białe jak lodowata woda, i tak samo zimne. Ale jest to jakiś inny chłód, nie natrętny, taki naturalny... Później siedzieć długo nad potokiem, patrzeć, czy ona nie nadchodzi. Przypominać sobie ją, szczególnie po szczególe, całą, i znowu tracić ją z oczu. Więc nie poddając się, wyobrażać

ją sobie od nowa i wciąż patrzeć, czy nie nadchodzi. Potem, wierząc, że przyjdzie w dzień, zastanawiać się, czy ona mnie rozpozna. Będę musiał trochę posprzątać w domu przed jej przybyciem. Dom powoli obraca się w ruinę, ale to nie znaczy wcale, że musi być w nim brudno. Co się da, trzeba sprzątać, umyć jakoś podłogę, ściany, nareperować okna i zrobić jakieś prowizoryczne drzwi, żeby nikt nie przeszkadzał, kiedy ona do mnie przyjdzie. Kiedy słońce zablyśnie nad polaną, trzeba zabrać się do roboty. Powynosić na podwórze co większe graty z podłogi, a resztę wymieść miotłą sporządzoną z brzozowych gałęzi. Znaleźć stare wiadro, zaczerpnąć wody w potoku i umyć podłogę. Jeszcze raz iść do potoku, przynieść nowej wody i umyć ściany i meble, które nadają się jeszcze do użytku. Myjąc i sprząając często podchodzić do okna i patrzeć, czy ona nie nadchodzi. Potem podchodzić z miotłą do każdego kąta i wygarniać wielkie pajęczyny spod sufitu, gnieść sędziwe, zasuszone pająki w refleksach zachodzącego słońca.

Przystaję na chwilę i patrzę na zamglony płaskowyż. Nie widać gór, tylko kilka samotnych drzew. Zaczyna padać deszcz. Zdejmuję plecak i pochylam się nad nim. Czy jest tu gdzieś ukryty kapelusz? Szukam. Gdzie kapelusz? A może czapka z daszkiem? Gdzie czapka z daszkiem? Jest: żółto - zielono - czerwona. Wspaniała. Nakładam, bo pada coraz bardziej. Nie ma wiatru w ogóle. Idę, zbliżam się do tunelu, w czapce z daszkiem, skulony od deszczu. Jeszcze ostatnie spojrzenie na szarą płaszczyznę rzeczywistości, dalekie, nieruchome drzewo odbite na kliszy pamięci. I do tunelu, coraz głębiej. Ciemność. Moje kroki odbijają się głośnym echem od granitowych ścian. Nie widać końca. Ale widać jakieś światło. Do światła teraz. Już blisko. Tunel się rozszerza w galerię światłości. Słyszę gwar ludzkiego tłumu, dźwięki hamujących lub przyspieszających pociągów.

Jesteśmy tu wszyscy, w tym gigantycznym tunelu, który sprawia wrażenie dobrze oświetlonej wielkiej sali lub jaskini. Przyszliśmy tu wszyscy, pociągów nie zabra-

nie. Robota przebiega sprawnie. Chodzą słuchy, że już połowa z nas wyjechała. Tunel zdaje się nie mieć końca. Chciałbym już stąd wyjść, ale nie wiem, jak; wszędzie tylko tłumy ludzi, miliony, miliardy osób, które same, bez niczyjego rozkazu, ustawiają się w kolejkach do wąskich drzwi wagonów. W drzwiach stoją spokojni strażnicy o woskowych twarzach pograżonych w melancholii i proszą o zajęcie wyznaczonych miejsc. Jeszcze nie widziałem, a chodzę tu już długo, żeby ktoś nie chciał wsiąść do pociągu. Zapelnione pociągi odjeżdżają i po chwili podstawiają się następne. Obserwuję ludzi. Zachowują się normalnie, rozmawiają. Przystaję i słucham znajomego głosu: „Chciałbym, żeby minęło już tyle czasu, aby moje oczy i myśli zmęczyły się i zasnęły wreszcie”. Mam dziwne wrażenie, że znalazłem się w tym tunelu przez pomyłkę, że to, co się dzieje, nie dotyczy mnie. Przechodzę wciąż obok ludzi gotowych do odjazdu, idę wśród nich tygodniami, latami - choć czas zdaje się tu płynąć w inne strony przez ten tunel, wielką halę ze światłami padającymi z sufitu, ale czuję, że mnie ich odjazd nie dotyczy. Jestem pewien, że gdybym zajął miejsce w kolejce i chciał, jak inni, wsiąść do pociągu, woskowe ramię strażnika zagroziłoby mi drogę, a pomalowane szminką usta powiedziałby beznamiętnie: Fuck off. I trzeba byłoby odejść. Wyjść z kolejki i odprowadzany drwiącymi spojrzeniami ludzi iść wzdłuż wagonów samotnie, w swojej czapce z daszkiem, mijając innych ludzi, czarnych, białych, żółtych. Chodzić między pociągami, przechodzić przez tory i znowu wzdłuż wagonów samotnie, patrząc na twarze w oknach wagonów, mając wrażenie, że mnie to nie dotyczy. Niekiedy zatrzymać się, patrzeć na jakiegoś człowieka, jakby znajomego, zastanawiać się, skąd go znam, przypominać sobie jego losy, wiedząc jednocześnie, że był on zupełnie inny, niż teraz, gdy jego życie rysuje pamięć i wyobraźnia, że wszystko jest inne, nierozpoznawalne. Potem znowu iść, widząc to ostatnie, nieruchome drzewo wyrze w pamięci na zawsze, przypomnienie, że było kiedyś coś oprócz tego tunelu. I dalej, nie zamieniając z nikim ani słowa, przechodzić przez tory i potykać się o szyny umykając przed pędzącymi pociągami. Twarze w oknach, odjeżdżające bez słowa skargi, bez

dobrze mogły to być obiektywne zjawiska, co jednak nie ma znaczenia, bo nie istnieją (i nie są nikomu potrzebne) dowody na potwierdzenie którejkolwiek z tych tez. Zniknęły pająki, ich długie i lepkie konstrukcje, potem tunel i to, co się w nim działo. W pewnej chwili jeszcze natknąłem się na delikatną, prawie niematerialną, fioletową zasłonę. Wisiała przede mną w przestrzeni, utrzymywana przez jakąś nieznaną siłę, nie zdołałem bowiem dostrzec czegoś, na czym mogłaby się trzymać. Była przezroczysta; wydawało mi się, że nic za nią nie ma. Gdy jednak poszedłem bliżej i uchyliłem zasłonę, ujrzałem zaropiałe oko wielkości lokomotywy, patrzące na mnie złośliwie nerwową i nieludzką żrenicą. I biegłem, nie oglądając się za siebie, czując, jak Jego spojrzenie przenika mnie niczym strumień zaostrzonych neutrino. Ostatkiem sił dotarłem jednak do strefy ciemnej mgły i tu znowu wszystko uległo przemianie. Teraz czuję, jak zmienia się mój umysł; staje

się umysłem może nie obcym, ale dziwnym. Zaczynam więc bacznie go obserwować, zdając sobie nagle sprawę z tego, że mam jeszcze jeden umysł, który obserwuje pierwszy. A może jest ich znacznie więcej: tajemnicza, wielopiętrowa struktura, do szczytu której nie da się dotrzeć w czasie jednego ziemskiego życia. Mnie jednak nikt nie pogania, nie ustala sztywnych terminów, nie zmusza do niczego. Zaoferowano mi, jak się wydaje, całkiem niezłe miejsce, atrakcyjne w tej swojej pozornej pustce, którą będę mógł w wolnych chwilach a wszystkie są wolne demaskować; fascynujące ze względu na głosy dobiegające z niewidzialnych, jak na razie, ust. Jestem więc spokojny. Z ciekawością rozpoczynam zwiedzanie; moja wyobraźnia odzyskuje wysoką formę. Można powiedzieć, że wypoczywam. I mam przecucie, że będą to długie wakacje.





KRZYSZTOF ANIN KUZKO

wielcy
dogadują się
nad głowami maluczkich
utrwalają im biedę w myśl zasady
wszystko dla dobra ...
samych siebie

prosty człowieku
nie bądź naiwny
przed kolejnymi
wyborami
kamień pozostaje
zimnym kamieniem
tylko kamieniem

Gdy
gdy osiągnę kres podróży
pamiętaj
połóż na każde słowo
kamień ciepły polem pszenicznym
rzeźbiony deszczem
kamień cierpliwy słuchacz
dźwięków miłości
pokonaj ciszę dni

prababcia
przerzuciła przez plecy
pucowane półbuty
podreptała piaszczystym
poboczem przez pola
przykłęknąć przed
Patronką Podlasia
pokornie prosząc
pomyślności przyszłym pielgrzymom



BEATA MAGIER

CHŁOPIEC W OKNIE

Grudzień

Chłopiec wyglądał, jakby przykleił się do szyby: śmiesznie rozplaszczony nosek, obie dłonie oparte o zimną tafelę szkła. I szeroko otwarte ciemne oczy, uważnie wypatrujące każdego ruchu na ośnieżonej ścieżce. A było na co patrzeć. Właśnie spadł pierwszy tego roku śnieg i przykrył świat grubą, puchową pierzynką. Znikła wijąca się pomiędzy krzewami ścieżka, a drzewka wyglądały bajkowo. Cały świat zdawał się jakby był przeniesiony do jakiejś czarodziejskiej krainy... Koło furtki pojawił się zimowy strażnik – pierwszy tegoroczny bałwan w czerwonym wiaderku na głowie. Dziecko z przejęcia miało rozgorączkowany wzrok i rumiane policzki. Ale to nie śnieg i bajkowy widok był teraz dla niego najważniejszy.

- Kostusiu, odejdz od okna, bo się przeziębisz. Mówiłam ci, że przyjadą dopiero wieczorem i od razu siądziemy do wieczery wigilijnej. Nie chcesz pooglądać bajeczek w telewizji?
- Nie, babciu.
- Szkoda, że jesteś taki zajęty. Wujek Marcin poszedł po choinkę i zaraz z Anią i Zuzią będą ją ubierać... Myśleliśmy, że pomożesz. Dziewczynki już zaczynają podjadać cukierki.
- A co powiesimy na choince? Powiedz im coś
- Sam powiedz.
- O, idzie wujek. Ale wielka choinka
- To pomożesz wujkowi ubierać?
- No pewnie. A ty, babciu, patrz, czy nie przyjechali.
- Dobrze, dobrze. Idź już, bo zabraknie bombek dla ciebie...

Chłopiec jeszcze raz spojrzął badawczo przez okno i zeskoczył z krzesła. Chwilę później rozbrzmiał pisk radości:

- Cudowna, prawda babciu? Ale będzie dużo miejsca na bombki

Gwar dziecięcych głosików przeniósł się z przedpokoju do salonu. Chwilę później słychać było radosne sprzeczki o to, kto i gdzie powiesi upatrzoną ozdobę. Barbara

wróciła do kuchni. Spojrzała tylko przez okno, westchnęła ciężko i dołączyła do córki przygotowującej kolację.

- Mamo, usiądź sobie. Przecież spokojnie zdążę ze wszystkim – powiedziała Małgorzata.
- I co, będę cały czas myślała? Muszę się czymś zająć
- Ale czujesz się dobrze?
- Dobrze. To, że dzisiaj przyjedzie Renatka z Jackiem poprawia mi nastrój.
- Aby tylko się nie spóźnili. Bo coś nie wygląda na to, żeby im się spieszyło.
- Małgosiu, nie mów tak. Przecież oni tak ciężko pracują...
- Coś mi się wydaje, że tak im po prostu pasuje.
- Przestań marudzić. Lepiej kończ już z tą rybą, bo się nie wyrobimy.

Kiedy tylko skończyło się ubieranie choinki, Kostek wrócił na swoje stanowisko przy oknie.

- Babciu, o której przyjadą?
- Przecież mówiłam ci, Kostusiu... Może chciałbyś coś zjeść?
- Ale przecież nie można jeść, zanim nie zaświeci pierwsza gwiazdka – oburzył się chłopiec.
- Kostusiu, post dotyczy tylko dorosłych, a ty jesteś dzieckiem – wtrąciła się Małgorzata.
- Ale ja chcę poczekać – upierał się malec.
- No dobrze, to napij się przynajmniej soku – młodsza z kobiet podeszła i potargała gęstą czuprynkę chłopca.
- Babciu, dlaczego rodzice muszą tyle pracować?
- Kochanie, każdy musi pracować
- A ty siedzisz w domu.
- Bo ja jestem już na emeryturze, kochanie.
- A rodzice nie mogą też być na emeryturze?

Barbara roześmiała się.

- Oj, Kostusiu, Kostusiu... Przecież twoi rodzice są jeszcze młodzi. Żeby iść na emeryturę, trzeba długo pracować. I być starym, jak ja.
- A ciocia Gosia i wujek Marcin też pracują, ale nie tyle co rodzice... O, ciocia jest tu z nami
- Cioci i wujkowi udało się znaleźć pracę tutaj. A twoi rodzice mają inną pracę. Muszą zarabiać pieniądze. Chcą zbudować piękny domek, kupić ci mnóstwo zabawek.

- Wołałbym, żeby tutaj byli... – chłopiec naburmuszył się.
- Oj, kochanie. I mnie, starą, zostawiłbyś samą?
- Wcale nie jesteś stara. Zresztą, zawsze będziemy razem, bo ciebie babciu kocham najbardziej na świecie
- Chodź, niech cię uściskam, mój ty mały mężczyzno
- A ja? Mnie nikt tu nie kocha? – wtrąciła Małgorzata.
- Oj, ciociu - Przecież wiesz
- To i ja zamawiam u ciebie całusa. A najlepiej od razu dwa, jeden na zapas – wszyscy roześmieli się wesoło.
- Babciu, babciu. Już jest na niebie pierwsza gwiazdka - do kuchni wbiegły roześmiane dziewczynki – Chodź, Kostuś
- A wy, panienki, już gotowe? Szybko, przebierajcie się - Trzeba siadać do kolacji - I ty, Kostuś, też - Przygotowałam ci ubrania, leżą na łóżeczku.
- Ale jeszcze ich nie ma – w oczach dziecka błysnęły łzy.
- Zaraz przyjadą, nie martw się

Barbara nie wiedziała już co ma zrobić. Kostuś stanowczo nie chciał zająć miejsca przy stole, a nawet zejść do salonu. Siedział z zaciętą miną na swoim łóżku, odwrócony do ściany.

- Kostusiu, zaraz przyjadą. Dzwonili, że już dojeżdżają. Bądź, grzecznym chłopcem
 - Nie - Obraziłem się
 - Ale ty jesteś małym chłopcem, nie możesz się obrażać. Zaraz przyjadą. Musisz się uspokoić. Jak będziesz wyglądał z taką brzydką buzią? Popatrz na mnie
 - Kostek, przyjechali – dobiegły z dołu głosy dziewczynek.
- Chłopiec błyskawicznie zerwał się, poprawił ubranie.
- Są, babciu, są – krzyknął i wybiegł z pokoju.
 - Mamo, tato - chłopiec z piskiem uwiesił się na szyi Renaty.
 - A na mnie tutaj nikt nie czeka? – mrugnął do chłopca Jacek.
 - Już myślałam, że nie przyjedziecie
 - Kochanie, dorośli muszą pracować i zarabiać pieniądze - Przecież wiesz
 - Ale ja tak się bałam...
 - Już jesteśmy. I zobacz jakie wspaniałe przywieźliśmy ci prezenty

Wtrąciła się Barbara:

- Witajcie - Ale wcześniej był u was Święty Mikołaj. I jakie wspaniałe zostawił prezenty – mówiła z naciskiem.
- Mikołaj? A tak, to Mikołaj zostawił u nas przed drzwiami. Prezenty są dla wszystkich – Renata z niezadowolaniem spojrzała na matkę.
- Witaj, mamo – ucałowała Barbarę i szepnęła jej do ucha – Jeszcze wciskasz mu te bajki o Mikołaju? Przecież to duży chłopak. Ma już 5 lat
- Póki co, wierzy w Mikołaja i niech tak będzie. Nie można mu odbierać dzieciństwa. Wystarczy, że was ciągle nie ma. Zresztą, pogadamy później. Teraz chyba na to czasu nie ma.
- Dobrze, mamo.
- Myjcie ręce, czas siadać do stołu. Czekamy tylko na was.
- Nie mogliśmy się wcześniej wyrwać z pracy – Jacek ucałował teściową w oba policzki – I Jeszcze dzisiaj było przyjęcie firmowe. Mnie też zaprosili... Mówię ci, jakie było pyszne jedzenie... Mniemam. Nigdy czegoś podobnego nie jadłaś. Aż nie chciało się wychodzić. Dzisiaj już chyba nic nie wcisnę
- Przyjęcie? W Wigilię? – oburzyła się Barbara – Woleliście siedzieć w pracy zamiast wracać do domu? A post?
- Co ty mamo wiesz – przerwała matce Renata – W dzisiejszych czasach firma jest dla pracownika drugim domem. Jak moglibyśmy nie pójść na przyjęcie? Pomyśleliby, że nie podoba mi się ta praca. A co do postu, to kto dziś jeszcze pości w wigilię? No chyba, że to głodówka zdrowotna – roześmiała się – Ale było wyśmienite jedzenie. Tak przygotowanego drobiu nigdy nie jadłam.
- A mnie najbardziej smakowało prosię. Nawet miało jabłko w pysku.
- Co wy wygadujecie...
- Mamo, już nie marudź. Prawda, Kostuś? Siadamy do stołu. Tylko się odświeżymy.

Wigilijna kolacja, jak zwykle, upłynęła w radosnym rozgardiaszu: każdy każdego usiłował przekrzyknąć, zwłaszcza dzieci. Kostusia trudno było zmusić, żeby siedział na krześle, nie mówiąc już o jedzeniu.

Zwłaszcza, że Renata cały czas robiła mu zdjęcia.

- Kostusiu, popatrz na mnie I uśmiechnij się
- Dzieci, przypominam, że trzeba spróbować wszystkiego. Każda opuszczona potrawa, to jakaś opuszczona przyjemność w przyszłym roku – Barbara patrzyła na rodzinę pobłażliwie, ale próbowała jakoś przywołać ich do porządku – Uspokójcie się trochę
- Babciu, ale ja nie lubię ryby – rozpląkała się Zuzia.
- A ja chcę kluski z makiem – dodała Ania.
- A ja chcę już usiąść przy choince i zobaczyć prezenty – nie wytrzymał Kostuś.
- Cierpliwości, kochani, cierpliwości. Prezenty nie uciekną, a wy musicie spokojnie zjeść – roześmiała się Małgosia.

Barbara patrzyła uważnie na członków swojej rodziny.

- Bardzo chciałabym, abyśmy mogli spotykać się co roku przy stole w tym samym gronie... – powiedziała.
- Mamo, przecież jeszcze przez wiele lat będziemy wspólnie zasiadać do wigilii. Potem, jak dzieci podrosną, to zobaczymy... – uspokajała Renata – W następnym roku może uda się nam gdzieś wyjechać? Fajnie by było, nie?
- Ależ Renatko, chciałabyś spędzić święta poza rodzinnym domem? Coś wygadujesz
- Już w tym roku mieliśmy zaproszenie z firmy na wyjazd na narty – wtrącił Jacek – Ale Renatka nie chciała. Dawno nie widzieliśmy Kostusia...
- No i dobrze, że nie chciała. Dziecko nie mogło się doczekać waszego przyjazdu. Prawda, Kostuś?
- Prawda, babciu – odpowiedziało dziecko, próbując szybko przeżuć trzymane właśnie w ustach kluski z makiem.
- To kiedy wracacie do domu?
- No właśnie, mamo... – z zakłopotaną miną odpowiedziała Renata – dostałam podwyżkę. Chcielibyśmy jeszcze zostać w Warszawie. Wiesz przecież, że dla mnie to ogromna szansa.
- Jest miejsce w szkole u Małgosi. Mogłabyś zacząć już niedługo. Tam sekretarka odchodzi na emeryturę.
- I co? Będę tam harowała za niewielkie pieniądze i bez żadnej satysfakcji? Teraz mam fajną pracę, rozpościerają się przede mną perspektywy.



📷 Tomasz Młynarczyk

- Perspektywy? A co z dzieckiem?
- Z jakim dzieckiem, babciu? – zainteresował się Kostuś.
- Z żadnym, z żadnym... Kończycie już jedzenie? Czas chyba rozpakować prezenty. A my porozmawiamy później. Najlepiej po pastercie.
- Jesteśmy tacy zmęczeni... Raczej położymy się wcześniej spać.
- To kiedy chcecie porozmawiać?
- A o czym tu rozmawiać? Po prostu nic się nie zmieni. Nie marudź, mamo.
- Skoro mama chce porozmawiać, to chyba znaczy, że ma coś do powiedzenia – wtrąciła Małgorzata
- Jak ma, to nam powie sama. Ty, Małgośka, zajmij się swoimi sprawami. Po prostu jesteś zazdrosna
- Zazdrosna? O co?
- Dziewczyzny, nie kłóćcie się. Porozmawiać

trzeba, bo chcę wiedzieć, co planujecie. Ale może nie teraz. Dzieci, czas na prezenty

– Hurra!

Chwilę potem wszyscy z wielkim zapałem zajęli się rozrywaniem papieru i oglądaniem prezentów. Niezaprzeczalnie najwspanialsze dostał Kostuś.

– Mamo, opowiedz mi coś przed snem.

– Chcesz, to powiem ci, jaki będzie nasz nowy dom, jak już rodzice zarobią pieniądze. Nasz dom będzie piękny, z olbrzymim podwórzem. Będziesz miał mnóstwo miejsca do zabawy i codziennie będziesz mógł zapraszać kolegów. Będziecie grali w piłkę, biegali. Może nawet uda się wybudować basen...

– Naprawdę, basen?

– Tak, kochanie. Zobaczysz, jak będziesz się dobrze bawił. A koledzy w szkole, aż się będą skrecać z zazdrości.

– A po co?

– Co, po co?

– Po co się będą skrecać?

– Bo tak będą chcieli się z tobą bawić i pływać na basenie. A ty będziesz zapraszał do nas tylko tych, których będziesz najbardziej lubił.

– To na pewno zaproszę Anię i Zuzię.

– Będziesz się bawił tylko z dziewczynami? Przecież jesteś chłopcem.

– Ale ja lubię się bawić z Anią i Zuzią.

– No dobrze. Będziesz bawił się, z kim tylko chcesz. Na dole będzie piękny salon, z dużym oknem, na całą ścianę...

– A ja nie wypadnę?

Renata roześmiała się głośno i ucałowała syna.

– Nie wypadniesz, głuptasio. To będzie taaakie okno

– I to będzie mój pokój?

– Nie, to będzie salon. Do twojego pokoju będzie się wchodziło po takich wielkich schodach. Mówię ci, będą olbrzymie

– I co?

– Dalej będzie korytarz, z mnóstwem luster i obrazków.

– Jak będę szedł, będą mógł robić śmieszne miny. Takie jak robię przy tym lustrze na dole. Zobaczymy, kto będzie śmieszniejszy: babcia, czy ja.

– Dlaczego babcia?

– Bo zawsze z babcią robimy konkurs na

najśmieszniejszą minę. Ostatnio zawsze ja wygrywam

– Fajnie. To może wróćmy do tematu? Na końcu korytarza będzie twój pokój. Będzie w nim łóżko – takie podniesione do góry. Będziesz do niego wchodził po drabince, bo ono będzie na grzbiecie dinozaura. W jego paszczy będziesz mógł chować zabawki. Będzie też wielka dinozaurowa szafa, a w jej brzuchu mnóstwo półeczek. A na całych ścianach będzie mnóstwo dinozaurów, bo wykleimy je tapetami... Co ty na to?

Kostuś nie odzywał się. Spał z buzią wtuloną w poduszkę obleczoną w poszewkę w dinozaury. I śnił sobie tylko wiadome sny. Renata uśmiechnęła się i odgarnęła spadające mu na czoło kosmyki. Delikatnie wstała i wyszła zamykając za sobą drzwi.

Dochodziła już jedenasta. Było późno, ale trudno w świąteczny wieczór zmusić dzieci do pójścia spać o normalnej porze. Kiedy zeszła na dół, w salonie zgromadzili się już wszyscy dorośli członkowie rodziny.

– Co tak siedzicie? – zachichotała – wyglądacie, jakbyście nadal czekali na prezenty.

– Chciałam z wami porozmawiać – odezwała się Barbara – Przede wszystkim chciałabym wiedzieć, co zamierzacie?

Renata i Jacek spojrzeli na siebie badawczo.

– Mamo, przecież wiesz, że nie możemy tam wszystkiego rzucić i, ot tak, wrócić tutaj. Potrzebujemy pieniędzy

– Ile jeszcze czasu będziecie siedzieć w Warszawie i zarabiać pieniądze? Mam wrażenie, że zawsze będziecie twierdzić, że macie za mało.

– Bo mamy za mało. Życie dużo kosztuje, a my chcemy się jakoś urządzić.

– Mamy duży dom, przecież możecie mieszkać z nami

– I tak całe życie będziemy siedzieli na kupie?

– Już trochę odłożyliście. Możecie zacząć pracować tutaj i jakoś powolutku... Jak będziecie chcieli, to za jakiś czas się wprowadzicie.

– Mamo, jesteś staroświecka. W waszych czasach wszystko robiło się powolutku. Teraz, rozejrzyj się, świat się zmienił i wszystko pędzi w szalonym tempie. Zresztą, chcemy dobra Kostusia. Jak ty wyobrażasz sobie jego przyszłość?

– Przecież tutaj jest mu dobrze – wtrąciła Małgorzata.

– Małgosiu, może ci pasuje, że twoje

- dziewczynki zostaną gospodyniami domowymi, albo nauczycielkami, ale my dla Kostka chcemy czegoś więcej
- Więcej? – oburzyła się Małgorzata – mam wrażenie, że przesadzacie. Jakoś na razie jest mu tutaj dobrze i chyba nie narzekacie Zresztą, to, że ktoś nie mieszka w stolicy, nie zamyka mu chyba drogi do rozwoju i późniejszej kariery
 - Gośka, to nie twoja sprawa. Takie banały to możesz opowiadać swoim uczniom. Przeszkadza ci nasz syn?
 - Przecież tak nie mówię. Ale mama chciałaby w końcu wiedzieć, co zamierzacie. Ostatnio nie czuje się najlepiej. I Kostus tęskni...
 - Mama przeżyje jeszcze ciebie i mnie. Może więc daj sobie spokój ze swoją fałszywą troską. Nikt cię tutaj nie trzyma, też możesz wyjechać, a nie tylko nam zazdrościć
 - Małgosiu, spokojnie – wtrąciła się Barbara – Ja po prostu chciałabym wiedzieć, co planujecie. Rzeczywiście ostatnio nie czuje się najlepiej, więc chcę wiedzieć, kiedy chcecie zabrać Kostusia.
 - Już nie chcesz się nim zajmować?
 - To nie tak. Przecież to wasze dziecko i bardzo do was tęskni. I cały czas nie wie, na czym stoi. Co mam mu mówić, kiedy się pyta, kiedy rodzice wrócą? Albo czy zabrają go ze sobą? Opowiadacie mu tylko o jakichś zamkach na lodzie, a to jest małe dziecko i potrzebuje pewności, a nie marzeń i wiecznego czekania
 - I kto to mówi? A sama opowiadasz mu bajki o Świętym Mikołaju
 - To chyba co innego? Dziecko potrzebuje rodziców
 - A my pieniędzy
 - No dobrze. Powiedzcie więc, co zamierzacie.
 - Właściwie jeszcze nie wiemy. Ale na pewno zostajemy w Warszawie. I, wiesz mamo, raczej tutaj nie wrócimy. Chcemy osiedlić się w stolicy. I dlatego potrzebujemy więcej pieniędzy. Tam przecież wszystko jest droższe
 - Czy warto jednak narażać dziecko na ciągłą tęsknotę?
 - Ale przecież zwróci mu się to z nawiązką. Zobaczysz, jak będzie nam wdzięczny za



- parę lat.
- Jak będzie jeszcze was poznawał – mruknął Marcin.
 - Może sobie darujesz ten sarkazm?
 - Zachowujcie się jak osoby dorosłe. Renatko, ile więc jeszcze zamierzacie czekać z zabraniami Kostusia?
 - Nie wiemy... – wtrącił Jacek – Trzeba wszystko przeliczyć. Na pewno jeszcze trochę.
 - Ja po prostu nie wiem, czy dam radę.
- Renata spojrzała na nią zdziwiona:
- Mamo, ty przecież jesteś zdrowa jak tur
 - Niekoniecznie...
 - Mama ma bardzo złe wyniki – wtrąciła się Małgosia – Dlatego właśnie zastanawiamy się nad przyszłością Kostusia. Bo nie wiemy, czy nie będzie potrzebna operacja. A przecież i tak zamierzaliście go zabrać po świętach.
 - Operacja? Co się stało?
 - Mama już od jakiegoś czasu źle się czuła... To coś z żołądkiem. Przecież widzicie, jak ostatnio schudła. Prawie nic nie je. Cały czas ją boli.
- W salonie zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na Barbarę.
- Mamo, dlaczego nic nie mówiłaś? – nerwowo zapytała Renata.
 - Kiedy miałam wam powiedzieć, jak ciągle jesteście w tej Warszawie, zajęci pracą?
 - Ale przecież jest tu Małgosia
 - Myślisz, że mi powiedziała, że się źle czuje? – mruknęła Małgorzata – Pytałam ją już wiele razy, a ona tylko, że to nic, że to grypa, że coś zjadła. Dopiero ostatnio, jak się okazało, że leki przeciwbólowe nie pomagają, mama przyznała mi się, jak źle się czuje. Od razu zawiozłam ją do lekarza. Wyniki nie są dobre. Lekarz uważa, że trzeba operować. I to nie u nas. Radzi pojechać do większego ośrodka. Myślałam o Warszawie.
 - Warszawie? Poczekajcie, niech zbiorę myśli – Renata wydawała się być przerażona. – A nie możecie pojechać bliżej, do Lublina na przykład?
 - Chodzi nam o to, żeby mama miała jak najlepszą opiekę. Tam chyba są najlepsi specjaliści. Zawsze, co stolica, to stolica
 - Czy ja wiem? Są też duże kolejki, lekarze są przepracowani, łatwiej o popełnienie błędu... Zresztą, myślisz, że jak zobaczą, pacjentkę z prowincji to będą się

- przejmować?
- Ale wy jesteście na miejscu, a do Lublina musielibyśmy dojeżdżać
 - A w Lublinie łatwiej byłoby znaleźć jakiegoś dojszcie W ogóle przesadzasz Małgoska. Po prostu powiedz, że nie chcesz zajmować się mamą...
 - Renata, jak możesz?
- Barbara gwałtownie wciągnęła powietrze.
- Myślę, że czas zakończyć tę dyskusję, bo do niczego nie prowadzi. Skoro Renatka tak uważa, pojedę do Lublina. Nie chcę robić wam kłopotu...
 - Ależ mamusiu Przecież ty nam nie robisz kłopotu. Moim zdaniem tak będzie lepiej. Przecież nie możemy zwolnić się z pracy, a szpitale i lekarze są wszędzie tacy sami. Co za różnica? – Renata uklękła u stóp matki i położyła głowę na jej kolanach.
 - Na pewno wszystko będzie dobrze, mamusiu...
 - Tak, kochanie, nie martw się o mnie – Barbara pogłaskała córkę po głowie. W jej oczach nie było jednak widać tej pewności.

- W końcu skończył się ten wieczór. Jestem skonana – Renata wskoczyła do łóżka i naciągnęła na siebie kołdrę. – Ale Kostuś wyrósł. Jest słodki Te cudowne oczy I świetnie wygląda w nowym ubranku. Widziałeś, jak ucieszył się z komputera Gdybyśmy siedzieli tutaj, nigdy byśmy mu tego nie dali A dziewczynki Małgoski, to aż buzie pootwierwały ze zdziwienia...
- Małgosia mówiła, że z mamą jest naprawdę niedobrze. Lekarze podejrzewają nowotwór
- Jacek, przecież wiesz, że Małgoska jak zwykle przesadza. Ona chce wyrobić w nas poczucie winy. Bo co ja mam zrobić, rzucić wszystko i tu wrócić? Pomyśl, jakie byśmy mieli życie. Ty byś sobie pojechał do pracy, a wszystko zostawałoby na mojej głowie Jak ty sobie to wszystko wyobrażasz? A ta Małgoska, to żmijka. Chciała mi chorą matkę podrzucić Przecież w pracy nawet nie ma mowy, żebym mogła się zwolnić. I ty też. A sama by się nigdzie nie ruszyła. Badania mogą zrobić tam, a potem się zobaczy. Dobrze, że mama nie dała się przekonać.
- To co robimy?
- Na razie idziemy spać. A z mamą? Najpierw


 Tomasz Młynarczyk

niech porobią badania. Potem zobaczymy. Nie ma się co martwić na zapas. Nie wiem tylko, co zrobimy z Kostusiem.

- Renatko, przecież w końcu i tak będziemy musieli go zabrać
- Ale jeszcze nie teraz. Przecież to mały brzdąc. Bardzo go kocham, ale kto będzie się nim zajmował, jak będziemy w pracy?
- Przecież są przedszkola
- A po przedszkolu? Kto go odbierze, zaprowadzi? Trzeba by było zatrudnić niankę, żeby zajmowała się nim, bo przecież przychodzę z pracy późno. Wiesz, jaki to wydatek? Ciebie też ciągle nie ma
- Może powinnaś mniej pracować?
- Jacek Umawialiśmy się, że dziecko nie wpłynie na nasze plany zawodowe. Zwłaszcza moje. A dla mnie najważniejsza jest kariera. Za kilka lat nikt mnie już nie zatrudni. Dla mnie to ostatni dzwonek. Wiesz, jak szefowie krzywym okiem patrzą na pracownice z dziećmi. Dopóki mama zajmuje się Kostusiem, jest w porządku. Jak będzie większy, zabierzemy go do siebie. Ja nie zamierzam się zakopywać w jakieś zupki, pieluszki, zabaweczki. Ja muszę się rozwijać. Wiesz, że gdybym musiała się zajmować dzieckiem na okrągło,

zwariowałabym. Dlaczego się śmiejesz?

- Jakie zupki, pieluszki? Przecież Kostuś jest już dużym chłopcem
- Znalazł się znawca. To dlaczego po porodzie, jak miałam depresję, nie zdecydowałaś się nim zająć? Tylko pojechałaś do pracy. Pomimo problemów, i mojego złego samopoczucia. A ja myślałam, że oszaleję. Czasami jeszcze i dzisiaj budzę się w nocy z wrażeniem, że słyszę ten ciągły płacz. I to karmienie. Koszmar
- Przecież na miejscu była mama. Przewijała Kostusia, bawiła... Przynosiła ci nawet w nocy na karmienia. Właściwie, oprócz obowiązku karmienia, nie musiałaś przy nim nic robić
- Nie wykręcaj się. Tak samo się nim zajmowałaś, jak i ja
- Ależ ja kocham Kostka
- Ja też go kocham. On jest najwspanialszym dzieckiem na świecie. Uwielbiam z nim być, rozmawiać... Ale dla niego lepiej jak jest tutaj. Nie dalibyśmy rady się nim zająć. Zresztą, trzeba się przygotować – mieszkanie, pokój, poszukać szkoły.... Jeszcze za wcześnie. A może ty zmienisz pracę?
- Dobrze, już dobrze. Zgadzam się z tobą. Tylko

- czasami myślę, że fajnie byłoby wracać do domu, w którym jest dziecko...
- Owszem, tylko kiedy byśmy się z nim widywali, skoro ciągle jesteście w pracy? A odpoczynek? Czy moglibyśmy wyjść wieczorem z przyjaciółmi? Czy moglibyśmy wyjechać za granicę? Żylibyśmy jak oni tutaj. Ciągłą pracą i dziećmi. Zagubilibyśmy siebie. Przyjazd Kostusia całkowicie odmieniłby nasze życie. Przecież już tego próbowaliśmy. Całe szczęście znalazłam pracę i to jakoś rozwiązało nasze problemy.
 - Masz rację. Jak siedziałas w domu, byłaś nie do wytrzymania. A teraz to co innego, aż inaczej wyglądasz. Praca ci służy. Jesteś taka apetyczna... hmmm...
 - Ej, robaczkę, nie rób maślanych oczu
 - To daj się pocałować. Najpierw w oczko, potem drugie. I w nosek, i w bródkę... o, jakie słiczne ramię. Je też muszę pocałować. Rozkosznie... hmmm.....

Marzec

Małgorzata nie mogła namówić Kostusia, żeby odszedł od okna. Patrzył bezmyślnie w szarość i błoto za szybą. Na stole leżały rozłożone puzzle, ale chłopiec dzisiaj wcale nie miał ochoty ich układać. Od rana był rozkojarzony i nieobecny duchem. Niby coś robił, ale... Jego dzisiejsze zajęcia były jak te rozłożone puzzle: zaczęte, ale nic poza tym. Ciągłe czekał i miał nadzieję. Była wściekła na siostrę. Wyglądało, że znowu nie przyjedzie. Od świąt praktycznie się nie odzywała. Zadzwoiła może ze dwa razy, i to tylko po to, aby ją skrytykować. Nie podobał się jej długi okres czekania na operację matki i winała za to siostrę. Miała też zastrzeżenia do tego, jak zajmowała się jej dzieckiem. Sama nie mogła jednak znaleźć czasu, aby przyjechać do rodzinnego domu i przyglądała się sprawie z daleka. Małgorzata miała o to pretensję, ale nawet nie mogła jej tego powiedzieć, bo nie chciała martwić matki, która mogła przypadkiem usłyszeć ich rozmowę. Miała wrażenie, że Renata umywa od wszystkiego ręce i tak naprawdę nawet nie myśli o tym, co się dzieje. A najbardziej szkoda jej było Kostusia, który po raz kolejny został oszukany. Jak można być

tak bezmyślnym? – irytowała się.

W swojej ocenie Małgorzata się jednak myliła. Renata bała się, jak nigdy. Nie od razu zdała sobie sprawę z tego, że matka jest poważnie chora. Ale wiadomości od siostry nie były pocieszające. Operacja była potrzebna. Poszła nawet w niedzielę na mszę. Po co, nie była do końca pewna. Rzadko chodziła do kościoła. Zawsze twierdziła, że wierzy w Boga, ale nie uważała, aby z tego powodu konieczne było regularne bywanie w świątyni.

- Po co mam chodzić tam, gdzie większość ludzi chodzi na pokaz? Pomodlić się to mogę w domu. Przynajmniej nikt nie będzie mi przeszkadzał. A do tego denerwują mnie księża. Bo cóż z nich za święci? Sami grzeszą, a wymagają od wiernych. Ja wierzę w Boga, a nie w księży – tłumaczyła, kiedy pytała ją o to matka.

Teraz poszła na mszę. Miała nadzieję, że może to coś da. Modliła się długo i żarliwie: Panie, miej litość nade mną i moją matką. Błagam Cię. Co ja zrobię, jak jej zabraknie? Znasz mnie przecież. Wiesz, że mam plany, ambicje. Nie mogę teraz wziąć do siebie Kostusia. To wspaniały chłopak. Miej chociaż wzgląd na niego... Nie mogę. Nie doświadczaj mnie. Ja tego nie zniosę. Proszę Cię – z jej oczu płynęły łzy. Bała się bardzo. Nie chciała usłyszeć wyroku, który przewróciłby jej życie do góry nogami. Chcę żyć. Co chcesz w zamian? Chcesz, żebym chodziła do kościoła co niedzielę? Będę. Chcesz, żebym modliła się codziennie? Będę. Przymierzam. Zrobię co zechcesz, daj tylko znak. Zobaczysz. Zlituj się nade mną. Zrób to dla tego niewinnego dziecka, cóż ono ci zawiniło?

Do domu przyszła wyraźnie uspokojona. Jacek, oczywiście, był w terenie. Niby w niedzielę nie jeździł, ale dzwonił, że ma ważne spotkanie i nie zdąży wrócić. Ostatnio w ogóle często go nie było. Renata chciała porozmawiać, ale miała wrażenie, że cały czas się mijają. Zastanawiała się nawet, czy nie robi tego celowo. Łatwiej było pojechać i uciec od problemów. Ale ona go potrzebowała. Co z tego, że problem dotyczył jej matki? Dziecko było wspólne i on też powinien zastanowić się nad jego przyszłością. Wiedziała, że Jacek kocha Kostusia. Bez przerwy o nim opowiadał, planował ich wspólne zajęcia i zabawy...

- Ale to mężczyzna.
- Oni tacy są. Wystarczy jakiś problem, to od razu idą do pracy, lub z kolegami na piwo – mówią do siebie półgłosem – A ty bądź mądra
- Wzięła się do przygotowania posiłku i złość powoli odchodziła. Potem planowała pojechać na zakupy. To ją zawsze uspokajało. Pomyślała, że kupi sobie jakieś ubranie, no i na pewno coś dla Kostka... A może i dla mamy. Tak właśnie zrobię. Ucieszy się, niech wie, że o niej myślę
- Wróciła w zupełnie innym nastroju. Uznała, że będzie, co ma być i nie ma potrzeby martwić się na zapas. Miała straszną ochotę pogawędzić z Kostusiem, ale jednocześnie bała się rozmowy matką. Nie chciała słyszeć jej narzekań, może nawet krytyki. W końcu wykręciła numer telefonu. Odebrała Małgorzata.
- Renata? Dobrze, że dzwonisz. Mamy już ustalony termin operacji. Zaraz po świętach.
 - Dopiero? Przecież mama nie może tyle czekać
 - I tak załatwiłam to po znajomości
 - Coś słabe te twoje znajomości. Może trzeba było dać coś odpowiedniemu lekarzowi?
 - Jeśli jesteś taka mądra, to dlaczego sama nie przyjechałaś i tego nie zrobiłaś?
 - Wiesz przecież, że nie mam czasu. W Warszawie, żeby przeżyć, trzeba naprawdę pracować. Tutaj nikt nie ma czasu na sentymenty. I nikogo nie obchodzi, że zachorowała mi matka, czy że muszę zająć się synem. Jesteś na miejscu, to możesz się chyba zajmować własną matką. Chyba nie proszę cię o zbyt wiele?
 - Ja też pracuję
 - Nie przesadzaj. A cóż to za praca? Nie ośmieszaj się
 - Naprawdę, nie mogę cię zrozumieć. Odkąd jesteś w Warszawie najważniejsza stała się dla ciebie kariera. Nie obchodzi cię nikt, ani własna matka, ani nawet syn. Miałaś dzisiaj przyjechać. Oboje czekają na ciebie od samego rana...
- Zapadła kłopotliwa cisza. Szczerze mówiąc, Renata zapomniała zawiadomić, że nie przyjedzie.
- Myślałam, że się uda, ale Jacek musiał jechać w trasę.
 - Ale mogłaś zadzwonić
- Nie przesadzaj, nic takiego się nie stało. Nie mów tylko, że czekasz z obiadem – ironizowała Renata
 - Renata, czy ty słyszysz, co mówisz? Ja myślę o Kostusiu. I ty mogłabyś czasami
 - To jest moje dziecko, więc się nie wtrącaj. I nie przesadzaj. Wszystko to robię dla jego dobra. I nie wmawiaj mi, że jest inaczej. Zresztą, szkoda słów. Daj mi Kostusia
 - Dobrze, ale proszę cię, żebyś następnym razem dotrzymała obietnic. Te emocje nie wpływają na niego dobrze, zwłaszcza, że martwi się o babcię.
 - Gośka, czyś ty zwariowała? Powiedziałaś mi o chorobie mamy?
 - Nie musiałam mu nic mówić. To mądre dziecko. Przecież widzi, że babcia źle się czuje. Że nie ma siły się nim zajmować i często jeździ do lekarza. Nie wszystko da się ukryć.
 - No dobrze, zwołaj go do telefonu
- Kobieta odłożyła słuchawkę i przeszła do kuchni. Chłopiec nadal siedział na parapecie i wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w furtkę. Gdy usłyszał nadchodzącą ciotkę, obejrzał się, lecz od okna nie odszedł.
- Kostusiu, dzwoni twoja mama
- Chwilę potem słuchała, jak chłopiec rozmawiał z matką.
- Mamo, kiedy będziecie?
 - Kochanie, niestety nie uda się nam dzisiaj przyjechać. Tata znowu musiał pracować. Przyjedziemy za tydzień. Dobrze?
 - Dobrze – odpowiedział chłopiec, chociaż nie wydawał się być przekonany. Małgorzata pomyślała, że właściwie powinien się już do tego przyzwyczaić, bo to nie pierwszy raz rodzice go zawiodą.
 - Kochanie, co słychać?
 - Wszystko w porządku. Wiesz, chyba pójdę do przedszkola razem z Zuzią
 - Do przedszkola? Kto ci naopowiadał takich głupot?
 - Ciocia Małgosia. Bo, wiesz mamo, babcia zachorowała i nie może się mną zajmować, a ciocia chodzi do pracy...
 - Ale do przedszkola? Przecież ty się sam sobą zajmujesz? Po co aż do przedszkola?
 - Mamo, bo ja sam chciałem. Nudzę się w domu. Proszę, zgódź się
 - Porozmawiam o tym z babcią. Wiesz, kupiłam ci fajną grę. Będziesz mógł



📷 Tomasz Młynarczyk

- powabić się i nie będziesz się nudził. Może nie będziesz musiał iść do przedszkola
- Ale ja chcę. Kiedy przyjedziesz?
 - Za tydzień, jak nie będziemy pracowali.
 - Czyli nie przyjedziesz
 - Kostusiu
 - Cały czas obiecujesz i nie przyjeżdżasz
 - Synku, ciężko pracujemy i nie zawsze możemy przyjechać kiedy chcemy. Nie bądź głuptaskiem
 - Nie jestem. Ja chcę, żebyś tu przyjechała. Chcę i już
 - Syneczku, tak nie będziemy rozmawiali. Jak ty się zachowujesz? Skarbie. Skoro nie chcesz ze mną rozmawiać, to do widzenia. Ale wiesz, że mamusi jest bardzo przykro. Jesteś już dużym chłopcem i powinieneś wiedzieć, jak się zachować. Daj mi ciocię
 - Chłopiec bez słowa przekazał Małgorzacie słuchawkę i wrócił do kuchni. Usiadł przy stole i podparł rękami głowę. Patrzył na rozłożone na stole puzzle. Podniósł jeden z nich, potem następny i zaczął je do siebie dopasowywać.
 - Małgoska, coś ty wymyśliła z tym przedszkolem? Rozumiem, że mama jest chora, ale chyba możesz przygotować mu śniadanie, a przez cały dzień jakoś się sobą zajmij...
 - Mama naprawdę źle się czuje i potrzebuje spokoju. Zresztą, niedługo pójdzie do szpitala i wtedy kto z nim zostanie? Nie wiadomo też, co będzie potem. Moje dziewczynki chodzą do przedszkola i są zadowolone. Towarzystwo innych dzieci dobrze mu robi. Sam w domu zostać nie może, ma dopiero 5 lat. Zresztą, uwierz mi,
 - załatwienie tego miejsca nie było łatwe.
 - No nie wiem. Zaskoczyłaś mnie tym pomysłem.
 - Renatko, przecież we wrześniu i tak by musiał pójść do zerówki. Może taka wprawka dobrze mu zrobi. Teraz nie przyjeżdżasz, to nie mamy nawet kiedy porozmawiać. A niektóre decyzje trzeba podjąć od razu.
 - Nie mam czasu, naprawdę
 - Ale niedługo Wielkanoc, to pogadamy
 - Wiesz, Małgosiu... Nie wiem jak to powiedzieć, ale raczej nie przyjedziemy na święta.
 - Coś ty?
 - Moja firma zaproponowała mi wyjazd na kilka dni nad Morze Śródziemne. To jest nagroda za dobrą pracę. To wycieczka dla dwóch osób. Jesteśmy zmęczeni, potrzebujemy odpoczynku... Przecież to grzech nie skorzystać z takiej propozycji
 - A Kostuś? On tak strasznie tęskni
 - Wiem. Myślisz, że ja nie tęsknię? Ale ja też zasługuję na odpoczynek. Już ledwo daję radę. Nie mogę tak ciągle pędzić. Co z tego, że przyjadę i nie dam rady nawet z wami rozmawiać?
 - Czyli zdecydowałaś się?
 - Raczej tak. Muszę to jakoś Kostusiowi powiedzieć. I mamie. Nie wiem, czy ona to zrozumie... A jak się czuje mama?
 - Jest słaba. Ciągle ma bóle brzucha, leki już prawie nie pomagają. Teraz śpi. Ostatnio często śpi. Chyba jej wtedy lepiej. Kostuś dużo u niej siedzi. Coś jej opowiada, bawi się w jej pokoju. Bałam się, że przeszkadza, ale nie. Mama mówi, że jak dzieci do niej

- przychodzą, to zapomina na chwilę o chorobie. Stara się pokazywać pogodną minę, ale widzę, że strasznie się boi i cierpi.
- Mówiła mi, że nie jest najgorzej.
 - Mówiła?
 - Tak, dzwoniłam wczoraj. Niepotrzebnie się stresuje. Przecież to tylko operacja. Zaraz po niej lepiej się poczuje. Dlatego trzeba się spieszyć, po co się ma tak męczyć?
 - Zrobiłam, co mogłam. Teraz pozostaje tylko czekanie. Ale chyba nie dziwisz się, że się boi?
 - No nie...
 - Trzeba przygotować Kostusia na to, że nie przyjdziecie na święta. A i mama przed operacją chciała cię zobaczyć. Jesteś pewna co do tego wyjazdu?
 - Pojedziemy. Przecież to świetna okazja. Ale skoro się tak upierasz, może uda nam się przyjechać za tydzień.
 - Proszę cię, Renata, postaraj się. Naprawdę sytuacja jest trudna.
 - Chyba trochę dramatyzujesz.
 - Łatwo ci mówić.
 - No dobra, postaram się przyjechać. A ciebie proszę, żebyś postarała się uspokoić trochę Kostusia. Dzisiaj był okropny.
 - Dziwisz się? On strasznie tęskni.
 - Ja też. Postaram się przyjechać, chociaż na kilka godzin. Pa.
 - Pa.

Barbara ocknęła się nagle. Śniło jej się, że ustawiała w całym domu wazony z białymi kwiatami. Nigdy w sny nie wierzyła, ale słyszała, że to nie jest dobry znak. Sen mara, Bóg wiara – przeżegnała się. Słyszała rejwach dochodzący z kuchni. Nie czuła się dobrze, ale wiedziała, że musi z tym walczyć, bo inaczej okaże się, że jest więźniem we własnym pokoju. Nie chciała swoich ostatnich dni spędzić samotnie, w zamknięciu. Przeczuwała, że tym razem los się do niej nie uśmiechnie. Bała się operacji, bo wydawało jej się, że się nie przebudzi. Podejrzewała, że nie jest z nią dobrze. Codziennie była słabsza. Z trudem podniosła się z łóżka. Kobieto, pozbieraj się. Chciała żyć. I to nie z egoistycznych pobudek. Myślała o dzieciach i wnukach. Córki radziły sobie dosyć dobrze. Obie

wyszły za mąż, miały pracę... Ale wiedziała, że potrzebują jej pomocy, zwłaszcza Renatka. Tak ciężko pracuje. Ciągłe w pracy i pracy... A tu trzeba zająć się Kostusiem.

Barbara zdawała sobie sprawę z tego, że córka jeszcze nie przyzwyczaiła się do bycia matką. Owszem, chciała mieć dziecko. Tacy chodzili szczęśliwi. Cięża przebiegała bez problemów, a Renatka wyglądała bardzo ładnie. Dziecko przyszło na świat przez cesarskie cięcie. Było przesliczne. Jeszcze dziś, na wspomnienie maluszka, na twarzy Barbary pojawiał się uśmiech.

Ale z Renatką zaczęło się coś dziać. Denerwował ją płacz dziecka. Narzekała, że ciągle jest zmęczona i niewyspana. Jakieś dwa tygodnie po porodzie Barbara weszła do pokoju, słysząc podniesiony głos. Kiedy okazało się, że to jej córka krzyczy na dziecko, zabrała je. Od tego dnia przejęła nad nim opiekę. Robiła przy dziecku wszystko, nawet spała z nim. Renacie przynosiła chłopca tylko do karmienia. Narodziny dziecka zbiegły się w czasie ze znalezieniem przez Jacka pracy. Niestety, musiał wyjechać do Warszawy. Dostał dobrze płatną posadę w firmie komputerowej. Miał zajmować się kontaktami z klientami i to powodowało, że często wyjeżdżał. W domu zjawiał się tylko raz w tygodniu. To nie poprawiało sytuacji. Nadal nie było widać, żeby w Renacie obudził się instynkt macierzyński. Barbara miała już dosyć tej sytuacji, więc, pomimo obiekcji, przekonała córkę, żeby zacząć małego karmić mlekiem modyfikowanym. Od tego czasu kontakt Renaty z dzieckiem ograniczył się do minimum. Uwielbiała synka. Kupowała mu śliczne ubranka, zabawki, ale chwilę pobawiła się z dzieckiem, a potem odchodziła do swoich zajęć. Oglądała telewizję, czytała, spała. I bez przerwy rozmawiała przez telefon. Kostusiem opiekowała się Barbara. Miała wrażenie, że Renata traktuje synka bardziej jak zabawkę niż jak własne dziecko.

Kiedy chłopiec miał cztery miesiące, Renata przyszła do matki i powiedziała, że w firmie Jacka jest dla niej ciekawa posada i ona chciałaby z tej możliwości skorzystać. Barbara nie mogła zrozumieć egoistycznego postępowania córki, ale

- zgodziła się. Bo tak naprawdę nie widziała innego wyjścia.
- Z biegiem czasu jakoś wszystko się ułożyło.
- Renata świetnie sobie radziła i zaczęła awansować. Starsza córeczka Małgosi, Ania, właśnie poszła w tym roku do szkoły, Zuzia do przedszkola. W domu został już tylko Kostuś i to opieka nad nim wypełniała jej całe dnie.
- Barbara najbardziej martwiła się o wnuki. Chciała zobaczyć jak dorastają, przystępują do Pierwszej Komunii... Nade wszystko gnębiła ją jednak myśl o Kostusiu. Nie wyobrażała sobie, żeby teraz pojechał do rodziców. Owszem, sama często ich przekonywała, że powinni zabrać chłopca, ale tak naprawdę miała nadzieję, że tego nie zrobią. Nie chciała się z nim rozstawać. Wiedziała, że jest mu tu dobrze. Miał swój pokój, towarzystwo kuzynek do zabawy, duże podwórce. Uważała, że w Warszawie nigdy nie miałyby prawdziwego dzieciństwa: rodzice w pracy, a dziecko z niańką w ciasnym pokoju. Chłopiec był tu szczęśliwy. Brakowało mu chyba tylko jednego – rodziców. Ale na to Barbara nie miała wpływu.
- Z trudem wyszła z pokoju i zeszła po schodach, odpoczywając co chwilę. Słyszała wesołe przekomarzenia dzieci. Zajrzała ubierając twarz w uśmiech.
- Ho, ho, cóż to się tutaj dzieje?
- Małgosia zerwała się z krzesła i posadziła matkę.
- Może zrobić ci herbatę, mamó? Mogłaś zawołać.
- Chciałam zobaczyć, co robicie. I pobyć trochę z moimi ulubionymi wnukami. Dajcie buziaka babci
- Babciu, robimy z mamą ciasteczka – odezwała się zadowolona, ubielona mąką, Zuzia – Ja robię serduszka
- A ja misie – uśmiechnął się Kostuś. Ania przytuliła się.
- Jak się czujesz, babciu?
- Jak stare drzewo. Ale jak poczęstujecie mnie tymi pysznymi ciasteczkami, to na pewno poczuje się lepiej.
- Małgosia postawiła przed matką herbatę i mrugnęła do niej.
- Trafiaś, mamó, w samą porę. Już wkładamy do piekarnika. Zaraz zobaczysz, jakie twoje wnuki umieją piec ciasteczka.
- Rozległ się dzwonek do drzwi. Małgosia poderwała się.
- Chyba mamy jakichś gości. Poczekajcie chwilę, zobaczę.
- A to niespodzianka Kostuś, zobacz kto przyjechał
- Mama Tato A myślałem, że nie przyjdziecie... – chłopiec przytulił się kolejno do rodziców – Chodźcie. Zobaczcie, jakie pyszne zrobiłem ciasteczka
- Chwileczkę, poczekaj, musimy się rozebrać. A jaki wspaniały przywieźliśmy ci prezent I o tobie, mamó nie zapomnieliśmy No, już idziemy
- Witaj mamó, cześć dziewczynki – pierwszy wszedł Jacek trzymany za rękę przez rozradowanego syna.
- Widzę, że trzeba zagotować więcej wody na herbatę. Jacy niespodziewani goście – uśmiechała się Barbara.
- ***
- Małgorzata usiadła na łóżku Kostusia i pogłaskała go po głowie.
- Nie martw się, rodzice niedługo przyjadą
- Ale ja myślałem, że zostaną trochę dłużej. A oni od razu pojechali
- Przecież wiesz, że ciężko pracują. Ten wyjazd też jest z pracy i nie mogą zrezygnować
- Przecież mogli mnie zabrać
- Kochanie, to wyjazd służbowy i nie można tam zabierać dzieci...
- A mama mówiła, że będą żeglowali po morzu...
- Na żaglówce mogą przebywać tylko ci, którzy umieją pływać. Przecież gdyby ktoś nie umiał, to wpadłby do wody i się utopił Mam pomysł Po świętach zaczniemy naukę pływania, chcesz?
- Pływanie? Ale gdzie? U nas przecież nie ma wody I jest jeszcze zimno...
- Będziemy jeździli na basen. Dobrze?
- Z Anią i Zuzią?
- Tak.
- Dobrze.
- A jak już nauczysz się pływać, to, gdy rodzice znowu będą wyjeżdżali, również ciebie zabiorą. A jak nie, to pojedziemy wszyscy latem nad nasze morze. A tym razem pojedą sami. Ale na pewno przywiozą ci wspaniałe prezenty, muszle. Zobaczą, będą mieli co opowiadać. Nie martw się Teraz już śpij, może przyśni ci się morze, albo coś fajniejszego. Daj buziaka.

Dobranoc.

Maj

Małgorzata przygotowywała obiad i rozmawiała z towarzyszącymi jej dziećmi. Kostuś i Zuzia przyniesli z pokoju poduszki i usadowili się na parapecie.

– Oj, maluchy. Chyba trzeba będzie powiększyć ten parapet, bo rośnięcie i niedługo nie zmieścicie się na oknie. A ostatnio to chyba wasze ulubione miejsce, co?

– Bo, ciociu, stąd wszystko najlepiej widać. Kobieta podeszła do okna i wyrzała. Czuć już było wiosnę. Na drzewach pojawiły się pączki liści, a w ogródku kwitły żonkile. Ale dzień był pochmurny.

– Jeszcze dużo czasu. Może lepiej coś zrobimy dla babci? Namalujecie jakieś obrazki?

– Dobrze, mamusiu. Anka, przynieś kredki i blok

– Zuzka, leniuszku Sama przynieś. Nie jestem twoją służącą

Małgorzata postanowiła zakończyć kłótnię.

– Dziewczynyno Nie umiecie się dogadać, to pójďte razem

– No dobrze, chodź Anka

Chwilę potem dzieci już pracowały pilnie.

Malowały w prawdziwym skupieniu.

Małgosia mogła w końcu zebrać myśli i spokojnie kończyć obiad. Bo miała się czym martwić. Z trudem udawało jej się przy dzieciach zachowywać pogodną twarz. Wiedziała, że to ostatnie dni matki. Podczas operacji lekarze tylko zajrzeli do środka i stwierdzili, że to nowotwór. Do tego tak zaawansowany, że nie było sensu go ruszać. Na prośbę Małgorzaty, nie powiedzieli Barbarze o diagnozie. Całe szczęście, leżała na sali z kobietami, które również miały operacje na żołądek i te przekonały ją, że złe samopoczucie i ból utrzymuje się po tym zabiegu nawet pół roku. Matka wydawała się być pełna nadziei. Zapowiedziała, że będzie na siebie uważać i przekonywała, że trzeba zacząć w domu gotować zdrowsze potrawy.

Małgorzata miała nadzieję, że matka jak najdłużej będzie pozostawała w nieświadomości, bo chciała jej oszczędzić przynajmniej cierpienia psychicznego. Wiedziała jednak, że długo okłamywać się jej nie da.




- Mamo, ładna?
- Śliczna. Jakie krokusy. I ptaszek w gniazdku.
To chyba wiosna?
- A moja ciociu? Ja nie umiem rysować ptaszków
- To co narysowałeś?
- To jest traktor. O, a tu dinozaur.
- O, a na ostatniej stronie serduszko I coś napisałeś...
- Koślawymi literkami pod wykrzywionym serduszkciem chłopiec napisał swoje imię.
- Brawo, Kostuś Ślicznie napisałeś. A ty, Aniu? Córka odkryła kartkę. Narysowała portret, na którym była z babcią. Był bardzo udany.
- Masz prawdziwy talent, córeczko. Jestem z ciebie naprawdę dumna
- Mamo, mamo, ktoś przyjechał – Zuzia podbiegła do okna. Dzieci zerwały się i z rysunkami w rękach pobiegły do drzwi.
- Ho, ho, jakie powitanie Też się cieszymy, że was widzimy. Mamy wam o czym opowiadać
- W drzwiach stali Renata z Jackiem.
- O, to wy... – na twarzy chłopca było widać rozczarowanie.
- Nie widzisz się, że nas widzisz? To dla nas?
- Cieszę się. To dla babci.
- Aha. Jeszcze jej nie ma?
- Nie.
- No, ale chyba dasz nam buziaka synku? – Renata przytuliła dziecko - Przywieźliśmy ci piękne prezenty Zobacz I dla was, dziewczynki, też coś mamy Jacek, przyniesie pakunki z samochodu Babcia zaraz będzie. Już wyjechali.
- Skąd wiesz? – zapytała Małgosia.
- Dzwoniłam do niej. Chyba jest w niezłej formie.
- Chwilę potem wszyscy siedzieli w salonie przy herbacie i cieście. Renata z zachwytem opowiadała o wyjeździe na żagle, a Jacek pokazywał Kostusiowi, jak posługiwać się telefonem, który właśnie mu przywieźli. Chłopiec był jednak jakiś niespokojny i nie mógł się skoncentrować. Niby szczęśliwy z przyjazdu rodziców, ale wyglądał, jakby coś go trapiło.
- Zobacz, Małgosiu, jakie wspaniałe zdjęcia Jakie niebo, woda To były najwspanialsze wakacje naszego życia Połknęliśmy bakcyla. Już szykujemy się na kolejny wyjazd latem.
- Zabierzecie ze sobą Kostusia?
- Kostusia? On jest jeszcze za mały. Zresztą w

- towarzystwie dorosłych nudziłby się. Słuchaj, Kreta jest wspaniała... A morze... Pływanie w nim to prawdziwa przyjemność
- To nie zamierzacie spędzić razem z nim wakacji?
- No wiesz, nie wiem... Nie myślałam o tym. Teraz może powinniśmy lepiej zastanowić się co z mamą. Trzeba przyspieszyć jej rekonwalescencję. Może trzeba kupić jakieś zestawy witamin? Porozumiałam się też ze znajomymi, którzy mieszkają w Stanach. To trochę kosztuje, ale obiecali mi przesłać specjalne odżywki. Mówią, że po tym nawet choroba potrafi się cofnąć.
- Wierzysz w to?
- Trzeba wierzyć Ty chciałabyś się od razu poddać
- No coś ty Wszystko bym dała, żeby mama żyła i żeby wszystko z nią było dobrze. Ale przecież widzę, jak z nią źle...
- O pieniądze się nie martw. Wszystko sfinansujemy. Widzisz teraz do czego potrzebna jest dobra praca?
- Małgosia chciała coś powiedzieć, ale zauważyła, że Kostuś oderwał wzrok od telefonu i zaczął przysłuchiwać się rozmowie.
- Pięknie się opaliłaś Jeszcze herbaty? – zmieniła temat, myślami błądząc zupełnie gdzie indziej. Martwiła się, że tak długo nie ma matki. Zastanawiała się już nawet, czy nie zadzwonić do męża. Renata dalej opowiadała, ale Małgosia zamilkła. Patrzyła tylko na siostrę z nieodgadnioną miną, czasami kiwając głową. Dzieci szybko znudziły się i wróciły na swoje stanowisko przy kuchennym oknie. Na fotelu została tylko pozostawiona komórka... W końcu usłyszeli:
- Są, są Nareszcie Mamo Przyjechali
- Ciociu, gdzie mój rysunek?

- Barbara nie wyglądała dobrze. Po przyjeździe ze szpitala koniecznie chciała posiedzieć z rodziną, ale jej słabość widzieli wszyscy. Tylko Renata z Jackiem, jak gdyby nic, opowiadali o wyjeździe na żagle. Kobieta niby słuchała, niby się uśmiechała, ale robiła się coraz bardziej błada. W końcu Małgorzata postanowiła interweniować:
- Mamo, myślę, że już się zmęczyłaś Może się

- trochę położysz przed obiadem?
- Przecież mama tylko siedzi, czym się miała zmęczyć? – zdziwiła się Renata – Chociaż trochę się zabawi...
 - Mama jest osłabiona po operacji. Powinna poleżeć: najpierw podróż, teraz ta rozmowa... Dobrze, mam? Odpoczniesz przed obiadem?
 - Może rzeczywiście muszę na chwilę się położyć.
 - Renatko, pomóż mamie. A potem przyjdź, pomożesz mi przy obiedzie.
- Małgorzata była wyraźnie wyprowadzona z równowagi. Starala się tego po sobie nie pokazywać, ale siostra ją drażniła. Gdy tylko Renata zjawiła się w kuchni między siostrami doszło do ostrej wymiany zdań.
- Zazdrościsz nam i stąd te twoje fochy – podniosła głos Renata odpowiadając na zarzuty.
 - Ty ciągle o tej zazdrości. Przyjrzyj się, co robisz. Po co dziecku w jego wieku komórka? Nawet nie zna cyfr
 - Ale będzie mógł zadzwonić do mnie kiedy zechce, bez pytania ciebie o zgodę. I ja do niego też
 - Myślisz, że zabraniam mu do ciebie dzwonić? Przecież was ciągle nie ma. Całymi dniami jesteście w pracy
 - To nie twoja sprawa. Mam za co kupić mu telefon, to kupiłam.
 - Najpierw komputer, teraz komórka... Renata, prezenty nie zastąpią mu rodziców. On potrzebuje abyście spędzali nim więcej czasu
 - I będziemy. Ale jeszcze nie teraz. Najpierw musimy zdobyć pieniądze.
 - Ale on robi się coraz starszy, a dziecięce lata już nie wrócą. Przecież nie będziesz nawet wiedziała, jakim był dzieckiem. Ile razy w tym roku go widzieliście? Dwa? Czy wiesz, czym on się interesuje, co go martwi, co cieszy?
 - Nie możemy przyjeżdżać tak często, jakbyśmy chcieli. Powinnaś nas zrozumieć i nie robić problemu. Dzwonię przecież często. Dlatego najpierw kupiłam telefon mamie, a teraz jemu. Chcę mieć z nimi stały kontakt. Naprawdę się martwię i cały czas o nich myślę. Nawet nie wiesz, jak często chciałabym przyjechać, porozmawiać się, przytulić... Ile razy w nocy nie mogę spać i płaczę. Naprawdę jest



 Grażyna Hankiewicz

- mi ciężko. Co ty możesz wiedzieć
 - Wierzę ci, ale telefon nie rozwiąże sprawy. Jak kogoś kochasz, to musisz koło niego być. Myślisz, że rozmowy przez telefon wystarczą? Nawet nie chcecie z nim spędzić wakacji
 - Chcemy. Coś wymyślę. Po prostu, nie myślałam jeszcze o tym. Na pewno gdzieś pojedziemy razem. Bo... Nie wiem, jak to ci powiedzieć... Będę chciała spędzić z nim troszkę więcej czasu, bo dostałam ciekawą propozycję z pracy. Wyjazdu za granicę. Na rok. Musze to wszystko jednak dobrze przemyśleć, dlatego wcześniej nic nie mówiłam. Dla Jacka też coś znaleźliśmy, tylko nie wiem, co z Kostusiem...
- Usłyszały głośny tupot stóp po schodach.
- Masz babo placek. Wszystko słyszał – Renata była przestraszona.
 - Idź go szukać. Trzeba z nim porozmawiać. Sama dokończę – westchnęła Małgorzata.



📷 Marek Melaniuk

Renata z wahaniem zapukała do pokoju Kostusia.

– Mogę wejść?

Chłopczyk nie odzywał się. Zajrzała. Siedział odwrócony tyłem do drzwi i udawał, że przygląda się rybkom w akwarium.

– Kostusiu...

– Czego chcesz?

– Synku. Jak ty się do mnie odzywasz? Skarbie...

– Idź sobie. Przecież się śpieszysz. Musisz pracować. Idź – rzucił w jej stronę zabawką, którą trzymał w ręku. Renata nachyliła się i podniosła ją.

– Ja przecież to robię dla naszego... twojego dobra. Jak będziesz starszy, zrozumiesz i docenisz. Na takim wyjeździe zarobię dużo pieniędzy i zaraz po powrocie wprowadzimy się do nowego domku. Będziemy już zawsze razem. Nie chcesz tego? Jeszcze tylko trochę cierpliwości

– Zawsze tak mówisz. Że zaraz, że niedługo...

– Nie płacz, kochanie. Naprawdę już niedługo. Musimy trochę zarobić. Babcia jest chora, trzeba kupić leki...

– Czy babcia umrze?

Renata zamilkła. Naprawdę nie wiedziała co powiedzieć. Nie była przygotowana na taką rozmowę.

– Nie umrze... Ale jest bardzo chora i musi się leczyć. Dlatego musisz być grzeczny i jej nie przeszkadzać. Dobrze?

– Dobrze, mamusiu.

– Zobaczysz, jakoś to będzie. Ale najpierw pojedziemy na wakacje. Gdzie chcesz pojechać?

– A nie możemy pobyć z babcią? Ona tak bardzo się cieszy, jak przyjeżdżasz

– Babcia jest za słaba, żeby gdziekolwiek jechać. Żle się czuje. Musi wypoczywać.

– Ale jak wyjeżdżaliście na te żaglówki, to mówiłaś, że to najlepszy sposób na odpoczynek, że czujesz się jakbyś się dopiero co urodziła

– Mówiłam tak, ale jestem zdrowa. Babcia musi brać lekarstwa, leżeć w łóżku.

– To może nigdzie nie wyjeżdżajmy, tylko zostanemy tu

– Myślałam, że pojedziemy nad morze, albo w góry...

Chłopiec zastanawiał się przez chwilę.

– Może najpierw trochę tu pobędziemy, a potem gdzieś pojedziemy? Może tak być?

– Dobrze.

– Chyba już czas na obiad. Idziemy na dół?

– Idziemy

Wrzesień

Chłopiec siedział na parapecie. Głowę oparł o okienną ramę i zmrużył oczy. Przypominał trochę rozleniwionego, wygrzewającego się na słońcu kota. Czekał tak od rana i chyba nie do końca wierzył, że jego oczekiwanie przyniesie jakiś efekt. Tyle razy zawiódł się na obietnicach rodziców, że zaczął traktować je z rezerwą. Wyraźnie ożywił się na widok dzieci bawiących się na podwórzu. Zastukał w szybę, a te radośnie pomachały do niego i zaczęły gestami przyzywać do siebie. Kosciusz zeskoczył z parapetu i już wkrótce dołączył do wesołej gromadki.

Małgorzata uśmiechnęła się widząc baraszkujące dzieci. W domu było teraz

smutno. Matka czuła się źle i na nic zdało się oszukiwanie, że tak ciężko dochodzi się do siebie po operacji. Zresztą już zbyt dużo czasu minęło.

Ze swoich rozterek Małgorzata zwierzyła się księdzu podczas spowiedzi. On uważał, że matka powinna znać prawdę. Wiedzieć, że jej czas już się kończy, aby móc spokojnie uporządkować swoje sprawy i przygotować się na pojednanie z Bogiem.

– Śmierć to nie jest coś ostatecznego. To jest przejście do lepszego świata, pożegnanie z cierpieniem. Powinnas to zrozumieć i pomóc uzmysłwić to także twojej mamie. Śmierć czeka nas wszystkich. Pomóż jej odejść w spokoju, a zobaczysz, że i tobie będzie potem łatwiej – radził.

Pomimo protestów Renaty, Małgorzata postanowiła delikatnie zacząć przygotowywać matkę do nieuniknionego. Okazało się, że kobieta już od dawna zdawała sobie sprawę z sytuacji i poczuła ulgę, że córka powiedziała jej prawdę. Że w końcu może z kimś normalnie porozmawiać o przyszłości, bez udawania i owijania w bawełnę. Nie chciała pozostawiać nie zamkniętych spraw. Ta postawa matki zaskoczyła Małgorzatę. Bała się, że kobieta załamie się i będzie jej jeszcze trudniej.

Jak zwykle Barbarę najbardziej martwiła przyszłość Renaty. Małgosię trochę to irytowało, ale starała się tego nie okazywać. Ciągle tylko Renata i Renata – złościła się. Ale jednocześnie wiedziała, o co matce chodzi. Ona zawsze jakoś sobie radziła. Od dziecka była rozsądna i umiała walczyć o swoje. A Renata... Z nią ciągle były problemy.

Najważniejsza jednak stawała się teraz przyszłość Kostusia... Małgorzata nie mogła zrozumieć stosunku siostry do dziecka. Niby uwielbiała Kostusia, obsypywała prezentami, zabawkami, ciągle dzwoniła, ale z drugiej strony nie była w stanie spędzić z nim dłuższego czasu. Chociażby ostatnie wakacje... Już dużo wcześniej Renata przez telefon opowiadała dziecku, co będą razem robić, przywiozła mnóstwo płyt, książeczek, zabawek – wszystko o dinozaurach. Idylla skończyła się jednak szybko. Pierwszego dnia, owszem, obejrzeli wspólnie film, poczytali książeczki, ale

zaraz okazało się, jak kobieta mało wie o swoim dziecku. Obecnie jego oczkiem w głowie były zamki i rycerze. Miał już nawet sporą kolekcję figurek rycerzyków i ciągle zamęczał matkę, aby się wspólnie nimi bawili. Fakt, że to on chciał decydować, co mają robić, zaskoczył ją. Inaczej planowała ten pobyt.

Radość z przyjazdu matki dawała chłopcu niesamowitą energię. Zachłannie spędzał z nią każdą chwilę. Wszystko chciał robić razem z nią. W nocy przychodził do jej łóżka. Kiedy budziła się rano, już miał otwarte oczy. Renata zwierzyła się siostrze, że od jego ciągłej obecności czuje się osaczona. Po kilku dniach marzyła, żeby w końcu uwolnić się z tych niewidzialnych więzów. Nie rozumiała, jak inne kobiety mogą lubić siedzenie w czterech ścianach i zajmowanie się dziećmi. Liczyła, że pobyt w domu będzie świetną zabawą i wypoczynkiem, a okazał się męczarnią.

Nie pomógł też wspólny wyjazd nad morze, tym razem z Jackiem. Wrócili wcześniej w niezbyt wesołych nastrojach. Chłopiec od razu pomaszerował do swojego pokoju i nie chciał z niego wychodzić. Jego rodzice przekonywali, że powrót był spowodowany złą pogodą, ale z rozmów z Kostusiem wyłaniał się zupełnie inny obraz sytuacji. Renata i Jacek po prostu nie byli przyzwyczajeni do przebywania z dzieckiem i do tego, że cały plan dnia trzeba było podporządkować właśnie jemu. Chłopiec całe dni chciał spędzać w wodzie albo na wędrownkach po lesie. Nie akceptował w pobliżu rodziców jakichkolwiek innych osób. A oni chcieli spotykać się z dorosłymi wczasowiczami. Problem narastał zwłaszcza wieczorami, kiedy zamierzali wyjść bez niego. Wtedy robił się wprost nieznośny. Płakał, wrzeszczał, uciekał z pokoju. Bali się zostawić go samego, bo potrafił w nocy sam wyjść z pokoju i wędrować po pobliskich uliczkach. W końcu mieli dosyć i wrócili do domu. Następnego dnia wyjechali do Warszawy tłumacząc się ważnymi zajęciami.

Małgorzata miała własną opinię na ten temat. Pamiętała, jak chłopczyk się urodził, ale uważała, że matka była za łagodna i za łatwo poddała się przejmując opiekę nad

Kostusiem. Renata, zamiast starać się nawiązać kontakt z synem, wyjechała i zajęła się karierą zawodową. A teraz jeszcze szykował się ten wyjazd za granicę. Zostało już tylko dwa tygodnie, a nadal nie ustalono, co stanie się z Kostusiem. Dlatego tak ważny był dzisiejszy przyjazd jego rodziców. A wyglądało na to, że znowu nie przyjadą. Małgorzata nie wiedziała już co robić, przecież czasu zostało niewiele. Podejrzewała, że Renata nie chciałaby nic zmieniać, ale, jak zwykle, zostawiała wszystko na ostatnią chwilę.

Kiedy zadzwonił telefon, od razu wiedziała, że to Renata.

- Cześć, Małgosiu. Słuchaj... Niestety, nie możemy dzisiaj przyjechać.
- Tak? Co się stało?
- Okazało się, że musimy wcześniej wyjechać. Już za pięć dni mamy być w nowej pracy.
- A Kostuś?
- No właśnie. W tej sytuacji nie wiemy, co robić.

- A wcześniej wiedzieliście? Mielicie jechać za dwa tygodnie, a nie mieliście czasu przyjechać i zdecydować co z małym. Teraz też nie wiecie, co zrobić.
- Słuchaj, Małgosiu, bo mamy problem... Gdyby mama była zdrowa, zostawilibyśmy go u was. Przynajmniej póki się nie urządzimy. A tak...
- Czyli chcecie, aby dalej tu został? - Małgorzata zapytała wprost.
- No, gdybyś się zgodziła... Właściwie dla ciebie to i tak nie byłoby większej różnicy, a nam byś bardzo pomogła...
- Nie mogłaś przyjechać i powiedzieć mi tego osobiście?
- Nie miałam kiedy. Zresztą biłam się z myślami...
- Nie przyjedziesz pożegnać się z dzieckiem?
- Myślę, że lepiej będzie, jak ty mu powiesz. Takie pożegnanie byłoby straszne. Ryczałabym pewnie jak bóbr. Tak bardzo go kocham... A dla dziecka czas płynie szybciej niż nam, dorosłym i ani się



- obejrzy, już będziemy razem. Zrobisz to dla mnie? Zobaczysz, odwdzięczę się
- Zrobię, zrobię. Nie dla ciebie, ale dla twojego dziecka. Tak bardzo mi go żal...
 - Jak dorosnie, to zrozumie i jeszcze podziękuję. Zobaczysz
 - Chciałabym, abys się nie myliła..
- Decyzja zapadła.

Grudzień

Chłopiec wyglądał, jakby przykleił się do szyby: śmiesznie rozplaszczony nosek, obie dłonie oparte o zimną tafle szkła. I szeroko otwarte, ciemne oczy, uważnie wypatrujące każdego ruchu na ośnieżonej ścieżce. A było na co patrzeć. Właśnie spadł pierwszy tego roku śnieg i przykrył świat grubą, puchową pierzynką. Znikła wijąca się pomiędzy krzewami ścieżka, a drzewka wyglądały bajecznie. Cały świat zdawał się jakby przeniesiony do jakiejś czarodziejskiej krainy. Koło furtki pojawił się zimowy strażnik – pierwszy tegoroczny bałwan w czerwonym wiaderku na głowie. Dziecko z przejęcia miało rozgorączkowany wzrok i rumiane policzki.

- Tak bardzo chciałbym pójść z wujkiem...
 - Kostusiu, przecież dopiero co wstałeś z łóżka. Jeszcze kilka dni musisz wytrzymać w domu, żeby znowu nie zachorować. Zresztą, zaraz wrócą. Może mi pomożesz dekorować ciasteczka?
 - Dobrze.
- Chwilę później pracował z zacięciem zostawiając kolorowy lukier nie tylko na słodkościach. Skupienie przerwał telefon. Dzwoniła Renata.
- Synku, dlaczego nie odbierasz swojego telefonu? Dzwonię i dzwonię...
 - Cześć, mammo. Został w pokoju.
 - Co robisz?
 - Ozdabiam ciasteczka. Zaraz wujek przyniesie choinkę.
 - Widziałeś prezenty, które ci przysłałam? Podoba ci się aparat fotograficzny?
 - Fajny... Szkoda, że ciebie nie ma. Pomogłabyś przy choince.
 - Wyjeżdżamy z tatusem do Grecji. To będzie wspaniała wyprawa... Może w tym roku pojedziesz z nami na wakacje...
 - Tak? Już są Ciociu, już są – Kostuś krzyknął



Przemysław Krupski

wniebowzięty. Chwilę później był na korytarzu i zachwycał się przyniesioną choinką. Wkrótce hałas przeniósł się do salonu, gdzie dzieci wspólnie z Marcinem zajęły się strojeniem drzewka. Na stoliku pozostał tylko samotny telefon. Małgorzata odłożyła słuchawkę. Pomimo, że będą to pierwsze święta bez matki, postanowiła, iż nikt w jej domu nie będzie się dziś smucić. Rozpoczęły się najbardziej rodzinne święta w roku.

styczeń – luty 2007





ANNA NOGAJ

Homo viator

Czymże jest czas? Jeśli nikt mnie o to nie
pyta, wiem. Jeśli pytającemu usiłuję
wytłumaczyć,
nie wiem.

Św. Augustyn

lubię te spacery między wersami
wtedy odwracam słowa. wysowuję się
w przestrzeń

nowa strona kolejnym zwierciadłem
przechadzającym się po dziedzińcu myśli

i te rozmowy bez dna choćby z Herodotem.
już wiem że żadne zdanie nie kończy się
kropką. że to co jest było to co było stanie
się

potem

miarowe stukanie w skałę laski mędrca
przypomina ten odwieczny rytm świata
i wewnętrzne pulsowanie

a kiedy wytrząsam piasek zza szkła
zegarka

myślę sobie że
może to ten sam który przesypywał się
przez sandały Tocydydesa

Herbertiada

Wędrowanie z Herbertem jest mi bardzo
bliskie,
wszystko się zaczyna zwykle od szczegółu -
ważę w dłoni istotę kamyka, badam
politurę
czerwonej skały albo marmuru. Potem po
kolei
zamykam się w słowach, odkrywam luki
czasu
aby je wypełnić i dotykam rzeczy aby je
domyśleć.

Bywa często, że muszę się skurczyć
do głosek, kreski czy przecinka,
by bardziej poczuć, stać się dźwiękiem,
pomrukiem wiatru gdzieś nad Aleksandrią.
I tylko kątem oka śledzę, jak przestrzeń
wzbiera
sumą znaczeń, barwą

A gdy się w końcu z nich wywierszę, odkleję
ręce
od płaskorzeźb luster, to cała szklistość
zamienia się
w dotyk, burzy się spokojem

wody, w której jestem
drgającym kręgiem w ciemnym chłodzie.
Przez palce sączę piasek Sanhedrynu,
zbieram płynne odbicia bożków, ludzi,
Rzymu.
Dalej już płynę, odgarniając dłonią historii
fale,
do swojego domu. Zdejmując wcześniej z
czoła
południe Rovigo, Rovigo